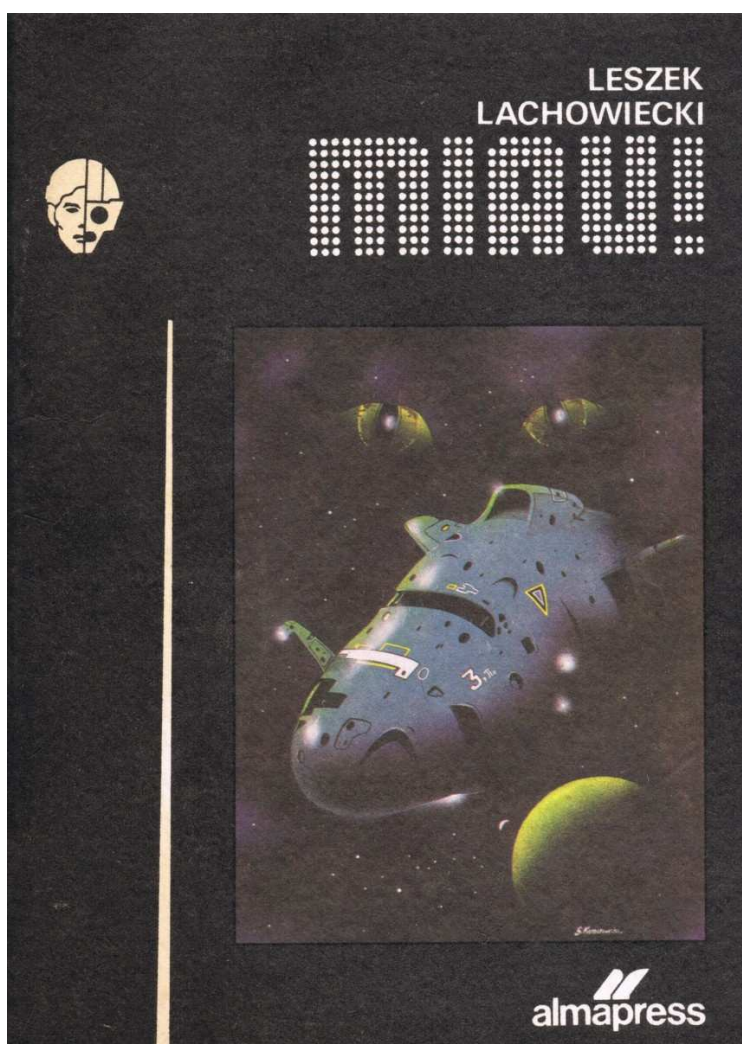


LESZEK LACHOWIECKI

MIAU!



SOW ZSP „ALMA-PRESS” WARSZAWA 1987

MIAU!

...Schyliwszy się, aby składać rozsypane po podłodze kartki, przymierzałem się do dzieła, niełatwego przecież, bom nie tylko zaczynał, ale i powtarzał, czytał, ale i interpretował, zmuszony do poprawek, retuszy i wygładzeń, skoro zemsta trwała, rozwijając się bez ustanku i wytchnienia, ciągle spełniana i ciągle nie spełniona, między „już” a „jeszcze”, grafomanią a literaturą, fikcją a życiem samym...

Znalazłszy kilka czystych jak śnieg stronici siadłem do pisania zamknięty na cztery spusty w małej kabinie wielkiego pancernika Hundertoler, krążącego w wirze, który zasysał wszystkich — bohaterów i czytelników, autora, kimkolwiek by nie był, i ofiarę, kimkolwiek była, stwórcę i wykonawcę, geniusza i wariata, wszystkich aż po finalny kres, kiedy to Jim Purmaker nareszcie zrozumie, że przegrał, śmiesznie i nędznie, skazany na swego kota: bardzo czarne zwierzę...

Mój wróg, Jim Purmaker, komodor Wielkiej Floty Galaktycznej Strefy Płomieni, był doświadczonym dowódcą, nie obawiającym się lawirowania między jęzorami kosmicznej plazmy, gnającej w kosmos z prędkością światła. W młodości przebijał swymi pancernikami lodowe pierścienie zamrożonych planet, bez wahania wykonując manewry uchodzące w podręcznikach nawigacji za niemożliwe.

Mimo to ani w młodości, ani na starość nie chciał przyznać, że w zawodzie próżniowca tkwi odrobina szaleństwa i metafizyki.

Jim Purmaker zaliczał się do nudziarzy, którzy są przekonani, że w życiu absolutnie wszystko znajduje swe namacalne wyjaśnienie.

Żeglował po Galaktyce niczym opiekun starych, niekoniecznie dobrych, za to na wskroś ziemskich zasad. Szaleńców wszelkiej maści karał surowo, nie uwzględniając bezgranicznej przestrzeni; której groza — prędzej czy później — przenika do najbardziej trzeźwego umysłu, przekreślając strach przed tym, co zabronione.

Purmaker był specjalistą od zakazów. Zaszczytą służba wyrobiła w nim niezaprzeczalny majestat, ale odebrała szczytę poczucia humoru, z jaką każdy przeciętny człowiek pojawia się na świecie. Ponuractwo zjednało komodorowi zwięzły przydomek „Głaz”.

Wedle uporczywej legendy Wielkiej Galaktycznej Głaz wykrzywił usta tylko wtedy, gdy starał się wymówić małą, za to niezwykle trudną literkę „er”. Wysiłki te nigdy nie przynosiły zadowalającego rezultatu, a słuchacz pozostawał w niepewności, czy nazwisko Purmaker nie brzmi przypadkiem Pułmakeł albo nawet Pąmakeł. Ta jedyna słabostka powodowała wiele zabawnych nieporozumień. Zabawnych, lecz nie dla komodora.

Rozgniewany potrafił zachować się niczym orkan nad sielskim miasteczkiem. Impet, z jakim spadał na wykrytych przez siebie winowajców, działał miażdżąco. Ziemia nie spieszyła z pomocą; sądy apelacyjne zapoznawały się ze sprawą w dobre dwadzieścia biolat po wydaniu wyroku...

Toteż przeklęty purmakerowski styl myślenia obowiązywał całą Wielką Flotę Galaktyczną. Nie zwracano uwagi na przepadające bezpowrotnie w mrocznych otchłaniach obiekty, które bystrym obserwatorom nasuwały myśl o statkach istot rozumnych; ignorowano sygnały, niedwuznacznie niosące treść, która po zakonspirowanym odszyfrowaniu okazywała się posłaniem obcej cywilizacji; pomijano milczeniem anomalie grawitacyjne, typowy objaw czarnych dziur; porzucano badania nad transformacją psychiczną i fizyczną, wywołaną latami spędzonymi w kosmosie, mimo, iż kilkunastu członków załogi utraciło już — mówiąc oględnie — kształty i cechy ludzkie...

Słowem — zrezygnowano ze wszystkiego, co tajemnicze, w zamian wprowadzając

codzienny, nieskomplikowany dryl: rankiem — pobudka, po niej śniadanie, zajęcia według grafiku, obiad, czas wolny, spędzany wedle upodobań, lecz wyłącznie cenzuralnych, później rozrywka lub nauka, kolacja i sen. Dla cierpiących na bezsenność — hipnagog, zmysłna maszynka oddziałująca na neurony, używana przez większość załogantów. W ten sposób przecucia Wielkiej Tajemnicy likwidowano w zarodku ku szczerzej satysfakcji ojcowskiego Jima Purmakera.

Wyjaśnijmy od razu: zadowolenie mojego wroga nie było moim zadowoleniem. Dlatego nie fascynował mnie hipnagog. Wolałem udawać, że śpię. W ciągu dnia grałem jednego ze zwykłych, normalnych, bezproblemowych. W rzeczywistości, od niejakiego czasu, coraz dokuczliwiej nękał mnie niezwykły, jak na warunki purmakerowskiej floty, jawnie nienormalny i jak najbardziej problemowy wierszyk:

„Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek,
na kogo wypadnie, na tego — BĘC!”

Przy powtarzaniu dźwięcznego „bęc” doświadczałem dreszczu rozkoszy. W rytm tego wierszyka powstawał mój plan rozprawienia się z purmakerowszczyzną. Raz na zawsze. Bez litości. Do końca. I bezapelacyjnie!

Zawziętość tych pomysłów miała niejaki związek ze starym zatargiem, w którym stroną oskarżającą był komodor, zaś moja skromna osoba tkwiła na zaimprovizowanej ławie oskarżonych, gryząc w bezsilnej wściekłości pokrwawione paznokcie. Przed laty, jako młody nawigator, musiałem stawić czoło rojowi meteorytów. Wychyńło to świństwo ze śmietnika wszechświata, nie zapowiadane najmniejszym piskiem echosond. Zderzenie z wielką bryłą zamrożonego amoniaku, naszpikowaną dziesiątkiem olbrzymich gładów, zdeformowało dziób naszego statku i — choć nikt nie poległ — zniweczyło wykonanie powierzonego zadania. Moim dowódcą był wówczas kapitan Jim Purmaker, a powodzenie misji miało przyspieszyć jego awans.

Nie przyspieszyło. Gład obszedł się ze mną bezlitośnie. Nie dość, że udowodnił zaniechanie obowiązków służbowych, to jeszcze, zamiast odesłać na Ziemię, wybrał poniżającą formę kary.

Zostałem niewykwalifikowanym pracownikiem obsługi. Do moich powinności należało czyszczenie butów i mundurów. W tym mundurze komodora...

Sam o to zadbał. Zapewne sądził, że w ten sposób zmusi mnie do rozpamiętywania winy za każdym razem, gdy szcotka dotknie uniformu z dowódczymi naszywkami.

Nie pomylił się. Moja myśl pracowała niespiesznie, lecz systematycznie. Aż pewnego dnia uznałem, że czas urzeczywistnić owo „bęc” z dziecinnej wyliczanki.

Znany z pedantyzmu wachtowy Linius Gulbekian, sprawdzając zakamarki czwartej ładowni, natknął się na węzełek ze starych szmat. Linius nie wątpił, iż ma do czynienia z karygodnym niechlujstwem tych, którzy przed południem robili tu porządki. Z cichą radością pomyślał o przyjacielskim szturchańcu, jakim obdarzy go komodor jutrzejszym rankiem, podczas odprawy; Gład żywił słabość dla tych, którzy tropili sprawców bałaganu i anarchii.

Linius zabrał feralne szmaty, ale niemal natychmiast ogarnęło go dręczące przecucie, że popełnia niewybaczalny błąd. Przez węzełek przebiegł brzydki dreszcz, a za chwilę nastąpiła seria przeszywających ostrych szarpnięć. Nie zdołał przeciwstawić się ich dzikości. Coś ożywało, demonstrując bezsporne niezadowolenie. Między czwartą a piątą ładownią Gulbekian doświadczał finału: w kurczowo zaciśniętej dłoni objawił mu się smolisty kocur.

Pedantyzm wachtowego został poddany najcięższej próbie. Jedynym legalnym kotem na pancerniku była rudawa angora, zwierzę łagodne i przymilne. To zaś, poczęte z niewyobrażalnej metamorfozy, bezczelnie podważało nieomyślność pokładowego rejestru.

Nadludzkim zaiste wysiłkiem Gulbekian zdołał uchwycić kocura za luźną skórę na karku. Każdy przyzwoity kot natychmiast okazałby posłuszeństwo. Ale nie ten — z piekła

rodem. Gdyby Linius mógł dłużej opowiadać o swej przygodzie — do końca życia spluwałby zabobonnie trzy razy przez lewe ramię...

Słusznie mawiano, iż bosman Horacy Medous posiada nadludzką intuicję. Może dlatego, iż jego powołaniem było nieustanne szpiegostwo na rzecz Purmakera. I tym razem zjawił się nie wołany. Widząc, że dłoń wachtowego tańczy jak gałąź targana wichurą, obsztorcował go za nieprzepisową postawę.

— Kot, niewiadomego pochodzenia — usłyszał w odpowiedzi. — Ujęty w czwartej ładowni o trzeciej piętnaście...

Tu Linius, przyjąwszy nareszcie postawę zasadniczą, cisnął miauczące zwierzę prosto w bosmańskie ślepia.

Po tym wyczynie czekał rozkazu „spocznij”. Ale żaden zrozumiały dźwięk nie poszybował w pełne pogłosów wnętrze.

Tylko sapanie oraz niewyraźny bełkot świadczyły o rozgrywającej się tragedii.

Walczyli ze sobą dwaj nierówni zapaśnicy. Mniejszy siedział na głowie większego i energicznie obrabiał mu łysinę..

— Cze...czego stoisz? — zaskamlał wreszcie Horacy. — Zdejmijże ze mnie to paskudztwo!

Trudno opisać dalsze postępowanie obu mężczyzn. Już po małym kwadransie w krzepkiej garści Medousa tkwił łeb, zaś w dwu ofiarnych dłoniach Gulbekiana — kocurzy ogon.

— Na mostek! — chrypnął bosman, ani przypuszczając, jaką lawinę strąca na załogantów flagowego pancernika Hundertoler.

Komodor, pradawnym obyczajem przodków, zwykł przesiadywać w sterówce. Jego obecność ujemnie wpływała na psychiczny stan pełniących tu służbę oficerów; odznaczała się przynajmniej tą zaletą, że reszta załogi żyła nieco swobodniej. Głaz znajdował na mostku wiele absorbujących zajęć. Do najbardziej wyczerpujących zaliczały się potyczki z pokładowym komputerem.

MAXIKOMP, inteligentny, samouczący się elektrostą, zdecydowanie mierzył komodorskie poczucie wszechwładzy. Wiedział zbyt wiele i wtrącał się w najbliższy manewr. Ponadto mózg nie okazywał uczuć i nie dawał się poniżyć. Ta beznamietność wzmagala legendarny purmakerowski zły humor...

Wszakże tego popołudnia lecieliśmy pustym szlakiem wschodniego zakątka Metagalaktyki. Głaz rozkoszował się chwilową nieużytecznością MAXIKOMPA. Wszyscy oddychali z ulgą, póki nie weszli: Medous, Gulbekian i... kot.

W tejsze chwili błogą ciszę rozdarło barbarzyńskie miauknięcie i potwór, wystrzeliwszy jak sprężyna, wczepił się w pierś dowódcy...

... Nie wiem, czy Głaz kochał kogoś oprócz samego siebie. Z całą pewnością nie kochał zwierząt, a już na pewno kotów, szczerzących mu przed nosem garnitur wcale okazałych ząbków...

Oslupienie komodora udzieliło się zrazu sterówce. Wkrótce jednak nabożną ciszą zakłócił pierwszy histeryczny chichot. Za moment kto żyw ryczał ze śmiechu.

Wielka, suto wyzłacana czapa zsunęła się komodorowi na potylicę, przez co nabrał wyglądu cokolwiek zuchowatego i zadziornego. Staroświeckie binokle, których uparcie używał, zjechały na sam czubek zagrożonego kocią paszczą nosa. Rękami wykonywał nieskuteczny młynek, jakby opędzając się od natrętnych much. Na spoconym obliczu malował się obrażony majestat i rosnąca obawa przed śmiesznością.

Zaiste, po raz pierwszy w swej długiej i bohaterskiej karierze Głaz był śmieszny! Nie trzeba nikomu tłumaczyć, iż pozostając w tak niezwykłym dla siebie stanie nie brał udziału w powszechnej wesołości.

— Skąd ten... potwór...? — wyjąkał złowrogo.

W zachowaniu „potwoła” obserwowaliśmy błyskawiczną zmianę. Z desperackiej agresji kocur przeszedł do namiętnego uwielbienia. Brawurowe mruczenie wypełniło przestrzeń sterówki.

Niespodziewana odsłona dramatu pod tytułem „Głaz i kot” wszystkim obecnym wydała się jeszcze komiczniejsza.

Zanim wzrok komodora zdławił ostatek spazmatycznego śmiechu, pomysłowy zwierzak na dobre umościł się na dostojnych kolanach. Przysięgnąłbyś, że to najbliżsi przyjaciele ucinają sobie popołudniową drzemkę.

Głaz trafnie odgadł, iż powinien jak najszybciej unicestwić tę, gęstniejącą od znaczeń, komitwę. Gwałtownie rozsunał kolana. Zaskoczony kocur z gniewnym fuknięciem opadł na cztery łapy.

— Za bułkę! — zażądał bardzo stanowczo Purmaker.

Lecz, czy to słabość wywołana śmiechem paraliżowała obecnych, czy też kot był zanadto zwinny — dość, że opuszczał mostek z dumnie podniesionym ogonem...

Komodor odsapnął z charakterystycznym poświstem. Rozpoczął polowanie na sprawców bałaganu. Pierwszy nawinął się doszczętnie ogłupiały Linius Gulbekian.

— Jak śmiałeś to przynieść? — Głaz kojarzył kocura z czymś równie nadobnym, jak oślizgła ośmiornica.

W innej sytuacji wachtowy próbowałby się bronić, lecz nawet niezwykłych wydarzeń odebrał mu resztki pewności siebie. A Głaz poczytywał milczenie za koronny dowód przestępstwa.

— Doba izolatki! O chlebie i wodzie! Chleb — czełstwy!

Okrutny ten rozkaz został wypowiedziany ceremonialnym i pouczającym tonem, mającym uświadomić wszystkim wokół, że sprawiedliwość czuwa.

— Nie sciełpię żadnych czwołonogów — mówił Purmaker, zerkając jadowicie na Medousa. Bosman wiedział, iż tylko nadwątłony kredyt zaufania chroni go przed równie surową i poniżającą karą.

— Tak jest! — huknął służbiście. — W ciągu godziny zlikwiduję! Śladu nie będzie.

I, odwróciwszy się po żołniersku, udał się w pogoń równie absurdalną jak wszystko, cokolwiek jeszcze miało rozegrać się na flagowym statku Wielkiej Galaktycznej Strefy Płomieni Hundertoler.

Linius Gulbekian nie doceniał swego szczęścia. Zamknięty w izolatce kłął na czym świat stoi. Snuł mordercze plany wobec czarnego potwora i — niejako z rozpędu — niewinnej i łatwowiernej angory. Zajęty obmyślaniami wyrafinowanych tortur przez dwadzieścia cztery godziny nie skosztował czerstwego chleba i przydziałowej wody. Wychodził z zamknięcia z podkrążonymi oczyma i siwym zarostem, ale — wychodził żywy.

Tymczasem Horacy Medous, w zaciętrzewieniu nie mniejszym niż to, które rozsadzało Liniusa, ruszył w pogoń. Widziano go w wielu miejscach, jak z niezwykłym skupieniem bada najmniejszy podejrzaną zakamarek, tropi tajemniczy ślad, nie wiedząc czemu z dużą pałką w dłoni.

Kocur stopił się z pokładem, jakby pancernik został nawiedzony przez autentycznego upiora. Być może wyznawca spirytyzmu legitymowałby się większymi szansami, ale Medous nie wierzył w duchy. Doświadczał więc rosnącego zawodu, ilekroć spodziewał się, że spoza zakrętu korytarza wychynie paskudny łeb. Gruba pałka świerzbiła dłoń i tak rozkosznie byłoby nią machnąć... Jednak dobrze znajome wnętrza zdawały się drwić z jego bezowocnych wysiłków. Coś jak krzyk rozpachy grzęzło mu w gardle. Niczym ślepiec dobrnął do jakichś drzwi, nacisnął klamkę, a potem...

A potem, z nagłą otrzeźwionym spojrzeniem, ogarnął Tansję Standenhouse i Sepa

Pucciniego. Siedzieli na służbowej kanapce w pokoju map, całując się — namiętnie, wyzywająco i bez najmniejszych skrępułów.

Oficer kulturalny Sep Puccini jakimś nie do końca wyjaśnialnym cudem przemycił na Hundertolrze swój lekkomyślny styl życia. Niewątpliwie, już profesja wykluczała go z zasięgu bezpośrednich zainteresowań komodora. Jednakże Medous, wiedziony słusznym instynktem człowieka w zarazku rozpoznającego chorobę, dawno rozgryzł „niedostosowanie” Pucciniego.

A teraz — kanapka, Tansja, pocałunki. Do tego kanapka i godziny służbowe, a Tansja... Motywy jej postępowania należało rozpatrywać w kategoriach kosmicznych niewiadomych. Od pewnego już czasu szczególną sympatią darzyła Sepa. Medous, posiadający silne poczucie własnej, męskiej godności, przeżywał kolejny zawód...

Dlatego zdecydował się rozpędzić tych dwoje na cztery strony pancernika. Zamiar, jak okazało się wkrótce, niewykonalny nie tylko z przyczyn czysto matematycznych.

Albowiem młodzi nie reagowali na pierwszy, klasyczny ryk myśliwego. Złączeni rozkosznym pocałunkiem nie raczyli nawet drgnąć, mimo iż z rozmysłem zmierzał do wywołania u nich służbistego szoku.

— Panie oficerze Puccini! Panno Standenhouse! Naruszyliście regulamin Floty. W imieniu komodora zatrzymuję was do dyspozycji służb śledczych!

Gorący pocałunek Sepa i Tansji przedłużał się w nieskończoność.

Nie namyślając się wiele, Medous runął na zakochaną parkę, aby rozerwać to, co nierozwalne...

A przecież mógł zauważyć, iż w scenie pocałunku brakuje czegoś, co uczyniłoby ją żywą i pociągającą, nawet jeśli rozgrywa się w dostojnym skądinąd otoczeniu gwiazdnych map.

Młodzieniec i dziewczyna trwali, niczym trójwymiarowy hologram, wmontowany tu przypadkowo, bez związku i całkiem bezsensownie. Ponieważ hologram jest bezcielesny, szarża bosmana przyniosła idiotyczny wynik: opadł na pustą kanapkę, z uczuciem wściekłego rozczarowania, gdyż szczerze pragnął ujrzeć w żółto-zielonych oczach Tansji isierkę lęku.

Podniósłszy chwiejną głowę, zamrugał niedowierzająco: po przeciwnej stronie, na identycznej kanapce, w identycznych pozach całowała się zakochana parka, drwiąc z pokładowej dyscypliny.

I tym razem nie odgadł czyhającej nań grozy. Jak straceniec rzucił się ku fantomom i jak straceniec lądował na bliźniaczej kanapce.

— Ki czort? — zadał pytanie, od którego należało zacząć.

Rozglądając się uważniej, spostrzegł teraz nienaturalność wyglądu całego wnętrza. Pozornie uporządkowane, zdradzało nieoczekiwany bezład, jakby ktoś złośliwie poprzewracał do góry nogami wszystko, cokolwiek kryło się za widocznym, lecz złudnym ordynkiem leżących i wiszących map. Ich wnętrza, otwierały przed obserwatorem głębie, starannie wykreśloną przez kartografów. To właśnie w niej, płaskiej przecież i fałszywej, wzbierał niepokój, ruch, przestrach. Porozkładane na stołach kartony zapadały się w siebie, niczym z nagła drażnione studnie. Medousowi oczy wyłaziły z orbit na widok bezmiernych otchłani, sterylnych dziur, doskonale mrocznych, a zarazem kipiących jak błotne gejzery. Mapy wiszące otwierały w ścianach nieskończone tunele, na końcu których lśniła jasna gwiazda ucieczki, zapraszająca do wtargnięcia w iluzoryczny świat niewiadomych wielkości i niewiadomego czasu.

Przenosząc wzrok ze ściskającej się parki na tajemnicze pulsujące prostokąty, bosman coraz jaśniej pojmował otaczające go nieprawdopodobieństwo. Trzeba przyznać, iż umiał zachować godność. Nawet wycofując się, nie tracił nic ze służbistego wdzięku. Obciążony wymięty mundur postąpił kilka kroków wstecz, sądząc, iż gdzieś tam, za plecami, są zbawcze drzwi, przekroczenie których zwalnia go od wszelkiej odpowiedzialności.

Cofał się wystarczająco długo, aby doświadczyć wszystkich tortur upokarzającego zdi-

wienia. Wyczerpawszy ostatek psychicznej odporności — odwrócił się; Drzwi — nie było! Pokój, w jakiś niespodziewany sposób, zakrzywił się i zawęził wokół rzeczony kanapki, na której siedziała Tansja w objęciach niezmordowanego Sepa...

Naraz w jednym z kartograficznych otworów zaświtał słoneczny punkt; z początku tkwił pozornie nieruchomo, choć w dyskretnym pulsowaniu światła kryła się energia lecącego pocisku. Horacy odruchowo skulił się i poszukał schronienia za wysokim oparciem wolnej kanapki. Nieznany kształt przeobrażał się, ogromniał, nabierając coraz wyrazistszych cech czegoś czworonożnego, ogoniastego i równie jak wypluwająca je pustka, żywiłowego.

Człowiek, nie dowierzając zmysłom, zerkał spod rozsuniętych palców na fascynujący spektakl. W przebłysku rozpaczy ujrzał, jak zawisa nad nim ogromna, kocia paszcza, łechzcząc go koniuszkami sztywnych jak anteny wąsidesł...

Tego wieczoru Barnaba Outkiper obchodził sześćdziesiąte urodziny. Barnaba nie cieszył się specjalnym względami komodora, chociaż od wielu lat sprawował zaszczytną funkcję szefa sztabu Wielkiej Galaktycznej Floty Płomieni. Obaj panowie różnili się bowiem radykalnie. Szefa sztabu charakteryzował wzmagający się wraz z nadchodzącą starością romantyzm. Z maniackim uporem rozczytywał się w powieściach fantastycznych i sam próbował pisać. Szeptano, że studiował zakazane przez Purmakera kosmiczne fenomeny, a nawet odkrył najprawdziwszą czarną dziurę, która rozszerzając się, pochłonie nas wszystkich. Głaz z ekspresyjnym obrzydzeniem nazywał szefa sztabu „chimetykiem”.

„Chimetyk” uświetniał swe urodziny bankietem, wydanym w salonie oficerskiej messy. Mimo osobistych uprzedzeń, komodor przyjął zaproszenie i prezydował za długim stołem.

Głaz lubił takie zgromadzenia. Dawały świetną okazję do snucia wspomnień, zwłaszcza tych, które ukazywały go w bohaterskim świetle. Rychło przed słuchaczami rozwinęła się wstęga znanej mi skądinąd przeszłości.

Komodor opowiadał o pościgu za Pohiblią, kometą typu delta, uciekającą w kosmiczną przestrzeń po trajektorii zagrażającej ruchliwemu szlakowi transportowemu z planety Kostas na platformę przeładunkową Madeleine. Nieomylnie wymieniał pamiętne nazwy, a ja, stojąc w półcieniu absydowej arkady, zamykającej westybul głównego wejścia, potakiwałem niemo, wsłuchując się w najłżejszy odcień głosu, zawahanie, chrząknięcie — jakbym wraz z buńczuczną opowieścią cofał się w czasie o kilkanaście gorzkich lat...

Pościgi były specjalnością młodego Jima Purmakera. Lubił i umiał to robić. Tym razem jednak na drodze niszczyciela, którym dowodził, wyroiły się setki meteorytów „diabli wiedzą skąd, a tumanowaty nawigatoi nie wymierzył współrzędnych”.

— Wpadliśmy w łój niczym elekton między płotony — huczał komodor. — Bałwan z tego nawigatoła! Kto widział małnować taką okazję!

Zamilkł, pewien efektu. Łyknął z małego kieliszka, spojrzął spod marsowych brwi, obgryzł udko kurczęcia.

A we mnie, przez nikogo nie dostrzeganym „bałwanie” serce zrywało się z postronka, bodąc w pierś, niczym oszalały stępek madryjocki, unosiło smutny pysk ku wyłaczanym panneau na suficie i wyło — chropawo i paskudnie.

Komodor rzucił na talerz obgryzione kostki. Biesiadnicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Pohiblię łozwaliłem dużo później, jedną salwą. Udało mi się, panowie!

— Miau? — pyta wesoło kocur, wskazując na stół. Pierwszy kieliszek z bursztynową zawartością przechyla się wolno i płyn zaczyna ściekać na śnieżnobiały obrus, tworząc brzydką, ciemną i nie wiedzieć czemu krwawą plamę.

— He? — stroszy się niezbyt przytomnie Purmaker, nie zdoławszy jeszcze ogarnąć zmiany. Kot z gracją przeskakuje półmisek z apetycznym mięsem i, nie oglądając się, zmierza prosto do komodora.

— A kysz — protestuje siedzący najbliżej szef sztabu. — A kysz — powtarza za nim kilku oficerów.

— Psik, psik! — jęczy obersteward, starając się pochwycić zwycięsko powiewający ogon.

Brzęknęło. Smukła butelka zatoczyła pijany łuk i z bulgotem chlusnęła na śnieżnobiały mundur dowódcy.

Niemile zdziwienie ścięło rysy komodora, fałdując jego brwi w coś na kształt grzybka. Grzybek wyrósł na ciemniejącej hubie, huba na wulkanie, wulkan na eksplodującej planecie, planeta ruszyła wokół powstającego słońca.

Kot ziewnął, otrząsnął łapy i, przysiadłszy skromnie, drobiazgowo wylizywał sierść.

— Kici, kici — wzruszył się szef sztabu, skupiając na sobie pierwszy gniew Purmakera.

— Jeśli chce pan coś powiedzieć w tej spławie — grożący palec wskazywał na odprawiające higieniczne zabiegi zwierzę — to płoszę jaśniej!

— Ładny kot — zaryzykował szef sztabu, który ostatnie kilkanaście godzin spędził w kabinie, pod pozorem niedyspozycji żołądkowej. W rzeczywistości oddawał się ulubionym lekturom i wykazywał żenujący brak orientacji w bieżących wydarzeniach.

Lewą brwią komodora targnął gwałtowny tik.

— Łapcie go! — chrypnął.

Natychmiast niezrównany obersteward i czwarty oficer porwali się na Barnabę i, zakładając mu podwójnego nelsona, niemal przygwoździli do krzesła.

Głaz zadygotał Kocur z zainteresowaniem obserwował zmagania z purpurowiejącym Outkipierem, solenizantem wieczoru.

— Czy... coś nie tak, panie komodorze? — pospieszył z pomocą najinteligentniejszy w tym gronie drugi oficer. Uciszony nieokreślonym, lecz spazmatycznym gestem patrzył wraz z innymi, jak dłoń komodora wczepia się w obrus i ciągnie go ku sobie, wraz z zastawą i — kotem...

— Puścić — wydyszał Purmaker, rujnując kolejną fałdą obrusa zakomponowany ordynek waz i półmisków. Ślepo posłuszny obersteward rozluźnił uścisk, dzięki czemu do płuc szefa sztabu na powrót wdarło się drogocenne powietrze.

— Skandal — zawyrokował solenizant słabym jeszcze, lecz pełnym świętego oburzenia głosem. Energicznie też otrzepał się ze zwiotczałych naraz napastników. Kot powstał dostojnie i rozpoczął wędrówkę w przeciwną stronę — do wyjścia.

— Ucieknie — jęknął Głaz, ciągnąc co sił. Obrus frunął, niczym wypełniający się wiatrem żagiel, kot przeszedł w klusa, talerze chybotwały się i tłukły o podłogę, a służbisty obersteward znów przypadł do szefa sztabu.

— Precz — syknął napadnięty i trzasnął oberstewardem o stół.

Kot, ani się oglądając, smyrgnął pod krzesła z szyderczym miauknięciem.

— Spłoszyłeś go pan — wymamrotał dziwnie postarzały komodor, zajęty ścieraniem majonezowej sałatki z mundurowego gorsu.

Zapanowało ciężkie milczenie. Stałem z wyciągniętą szyją i załzawionymi powiekami, pełen wielkich przeczuć i niejasnych nadziei, które z minuty na minutę rosły, niczym entropia w zakłóconym układzie.

Purmaker przemógł się. Uniósłszy bezbarwny wzrok znad mozaikowo ubarwionego munduru, miłym głosem zagadnął:

— Dlaczego to zwierzę nadal znajduje się na statku?

W końcu stołu ktoś nerwowo odkaszlnął.

— Oficer administracyjny von Błombełg?

Wątła postać skazańca uniosła się widmowo ponad spuszczone głowy.

— Von Błombełg — w tonie komodora brzmiała mordercza życzliwość, jakby zgryzał dźwięczne nazwisko podwładnego, doświadczając przy tym szczególnie wyrafinowanej, pod-

niebiennej rozkoszy.

— Von Błombelg... zechce pan odpowiedzieć na płoste pytanie.

Wywołany do głosu zachwiał się, lecz nie upadł, wciśnięty w szereg nieruchomych jak sople lodu biesiadników.

— Ja... melduję posłusznie — pustka w jego głowie dzwoniła ogłuszająco. Razem z tym dzwonieniem tracił resztę zdrowego rozsądku, pragnąc jedynie ukryć się przed sępiim wzrokiem Głaza. Wężowym ruchem zaczął wpełzać pod stół, lecz napotkał nieoczekiwaną i bardziej aktywną konkurencję. Spośród płataniny nóg rozległo się bowiem beztrroskie: „kici, kici!”

Purmaker z podejrzanym zainteresowaniem śledzący wysiłki von Bromberga nastawił uszu.

— Kto?! Kto śmiał...?

Nad powierzchnię stołu wyskoczyła niesforna czupryna i zaraz potem młodzieńczy głos zameldował:

— To ja, panie komodorze, szukam kota...

Purmakerowi opadła lewa powieka. Każdą głoskę wypluwał niczym szklaną kulę, mogącą łatwo pokaleczyć język.

— Kota... echem...chłopcze, jak ci tam...

— Sep, Sep Puccini, na rozkaz! — wykrzyknął młodzieniec.

— Sep? — w bezbłędnej pamięci komodora pojawiła się luka, tym bardziej rozwścieczająca, że Sep natychmiast ją wykorzystał:

— Oficer kulturalny, melduję...

Komodor przymknął powieki i długo ważył historyczną decyzję.

— Von Błombelg — zawyrokował — pan zorganizuje poszukiwania. Do jutra kota ma nie być. Pan złozumiał?

— Tak jest!

— A ty, mój chłopcze — rzekł Głaz do Sepa miodnym, ojcowskim tonem. — Znajdziesz i wypiszesz wszystkie gwiazdozbiory, które mają coś wspólnego z tym... echem... zwierzęciem...Wszystkie! W przeciwnym łazie...

Nie dokończył, wpatrzony w kraniec bankietowej sali. Spojrzenie to biegło ku mnie jak sprinter z zapaloną pochodnią. Niczym beczka prochu, lękałem poruszyć się, by nie nastąpił wybuch. Lecz uparty wzrok prześlizgnął się w dół, ku czemuś, co zwiewnie, ciepło i gibko ocierało się o stopy, mknąc do wyjścia.

Wówczas pojąłem, iż Jim Purmaker żegna się z czarnym kocurem-upiorem jak żołnierz — do następnej bitwy.

Zarządzono poszukiwania.

Ten, kto nie latał kosmicznym pancernikiem klasy międzygalaktycznej, posiada nikłe wyobrażenie o skali trudności takiego przedsięwzięcia. Igła w stogu siana, meteor w układzie planetarnym, zarazek nieziemskiej choroby w organizmie ludzkim — wszystko to łatwiejsze jest do wykrycia, niż chytry zwierzak, chodzący własnymi drogami.

A dróg tych nie brakuje. Ciągną się galeriami duktów transportowych, biegną szybami pospiesznych wind, pełzną labiryntem klimatyzacji.

Gdzieś, w najciemniejszym z ciemnych zakątków, jarzą się przewrotne ślepie, wysuwają zachłanne pazury i drwiący hurgot wypełnia różową paszczkę.

Sykstyn von Bromberg nie kojarzył swego zadania ze scenerią aż tak diaboliczną. Przeciwnie, żywił cichą nadzieję, iż uda mu się rozwiązać zadanie w sposób chłodny i doskonały. Von Bromberga pasjonowała technika. Czerpał z niej największą satysfakcję i ani na moment nie wątpił, że użyczy mu ona wszystkich niezbędnych dla kociej akcji środków.

A miał w czym wybierać. Na statku potykałeś się niemal o zestawy czujników,

analyzerów, końcówek — systemy wyrafinowane i biegłe w odczytywaniu najdrobniejszych zakłóceń. Uaktywnienie tego bogactwa wydawało się Sykstynowi najlepszym posunięciem w rozpoczętej wojnie. Dodajmy mimochodem, że von Bromberg prezentował się nad wyraz pospolicie, jakoś blado i nijako. Człowiek o mysim wyglądzie... chyba tak właśnie należy go określić.

Plan rozprawienia się z kocurem, zwany od autora „brombergiańskim” w zasadzie nie napotkał sprzeciwu. Jedyne Purmaker uniósł obie brwi bardzo, bardzo wysoko i z właściwym sobie sarkazmem, mruknął:

— Idiota!

Komodor zdobywał się niekiedy na zaiste prorocze sformułowania.

Z drugiej wszakże strony: czyż kocur nie składał się z białka? Czyż nie posiadał właściwej swemu gatunkowi temperatury i nie wysyłał ściśle określonej bioenergii? Skoro tak, elektronika statku flagowego Hundertoler powinna bezbłędnie wykryć jego obecność.

Niezmiernie długi przedświt na zawsze pozostanie w astromilitarnej historii wszelkich flot próżniowych, jakie kiedykolwiek wyruszą na ciche szlaki odwiecznych, międzygalaktycznych pustek. My wszakże, załoga wytypowanego przez ślepy traf statku, nie wykazaliśmy historycznego wyczucia. Zawstydzającym szczegółem były żarty, tworzone na gorąco, bez zastanowienia i delikatności. Najpopularniejszy mówił o alarmie wszczętym przez pchłę, wytrzęsioną z kociego futra.

Rzeczywistość zadrwiła z nas z sadystycznym okrucieństwem. Około północy ciszę rozdarł gwałtowny ryk syren, a potem, w niewielkich odstępach, odgłos dwu strzałów. Dobiały z kajuty kucharza Georgecieux. Jak później ustaliła niezależna komisja, zwykł on kłaść się do łóżka okutany w cztery kocie skórki. Mawiał, iż to najlepszy sposób na bóle krzyża. Dyskutujący ten nieszczęśliwy wypadek specjaliści kłócili się jedynie o zadziwiającą zbieżność innych, niż futerkowe, parametrów z tak zwanym syndromem kota. Zwłaszcza, iż były one już bezsporną własnością pocziwego Georgecieux.

Zanim ciało denata trafiło do chłodni, naczelny lekarz nadzwyczajnym rozporządzeniem zakazał przechowywania wszelkich uzdrawiających akcesoriów. Już po godzinie wyznaczone naprędce punkty zbiorcze puchły od najdziwniejszych trofeów. Załoga, w słusznej obawie o życie, pozbywała się najmniejszego błamu. Przeważały psie i kocie, ale nie zabrakło i bardziej egzotycznych. Prawdziwą sensację wzbudził starszy mat Tep-Sen-Jun Czarnowski, rzucając na szczyt sterty mocno pachnącą naftaliną skórę afrykańskiego wielbłąda...

Doceniając siłę relikтового zabobonu nie poprzestano na dobrowolnej zbiórce. Łupem bezwzględnej rewizji padły co najmniej trzy tuziny szczególnie skutecznych pod względem leczniczym skórek czarnych kotów, upolowanych o północy, podczas pełni księżyca...

Wkrótce zrozumieliśmy, iż nocny bałagan nie ustanie wraz z konfiskatą ostatniego futerka. Automaty okazywały się w najwyższym stopniu niedoinformowane. Żadna siła nie strzegła nas przed ich drakońskimi pomyłkami. Co bardziej przewidujący załoganci Hundertolera oczekiwali kolejnego dramatu.

I nie zawiedli się. Staruszek Lubosz Pernyhoorn, dziewięćdziesięcioletni weteran, uległ we własnym łóżku zmasowanemu atakowi czujników. Chroniły one zazwyczaj przed ogniem, ciśnieniem i gazem. Zapewne w trosce o wszechstronność nastrojono je także na odbiór fal dźwiękowych. A Pernyhoorn — chrapał... Wspaniałe podobieństwo naturalnych odgłosów do kociego mruczenia przesądziło o smutnym końcu najstarszego załoganta na Hundertolerze.

Gdy ciało starca składano w chłodni, z trudem dobudzony komodor grobowym głosem dyktował nadzwyczajny rozkaz, zabraniający w ciągu najbliższych dwunastu godzin najlżejszej bodaj drzemki. Specjalne ekipy ruszyły do przedziałów sypialnych z zadaniem natychmiastowego wyłączenia hipnagogów i otrzeźwienia tych, którzy regulaminowo przesypiali okropną noc. Sądzę, iż poświęceniu tych ekip zawdzięczamy wiele istnień, choćby niedoszłe ofiary okazywały, w pierwszym impulsie, przeciwstawne wdzięczności uczucia.

Tak naprawdę nikt już nie zaznał senności. Ludzie tkwili w kabinach, pilnie nasłuchując, a nad głowę Sykstyna von Bromberga ściągały wielkie, czarne chmury...

Spodziewana burza targnęła posadami statku dopiero nad ranem. W pobliżu siłowni wybuchł pożar, wzniecony przez remontowy homeostat. Robot, kierujący się programem ścigania kocura, nie popełnił błędu: w komorze łączącej antypromienne śluzy ukrywało się zwierzę, będące niewątpliwie kotem. Nic więcej nie zdołano ustalić, zważywszy, że pożar rozszerzył się na sąsiednie sekcje. Zanim go ugaszono, temperatura sięgnęła krytycznej. Na szczęście stos nie wybuchł. Od tej chwili jednak tor naszego lotu odchyłał się od optymalnego. Tylko naprawa zniszczonych urządzeń umożliwiawała powrót na właściwą trajektorię.

Ale jakież to miało znaczenie, skoro sprawca całego bałaganu został nareszcie unicestwiony?

Co prawda, nie wszyscy byli podobnego zdania. Zapodział się gdzieś kot angora, do niedawna legalny członek załogi. Przywracano go teraz do łask. Powinien więc zgłosić się na swe zwykłe miejsce — przy kuchni. Oczekiwano go tam z wytężoną nadzieją. Na próżno...

Szaleństwa von Bromberga nie oszczędziły nikogo, choć znalazł się człowiek, który przeżywał je na swój sposób.

Ostatnie chwile przed północą Sep Puccini spędził na rojeniach o zemście. „Kocie gwiazdozbiory”, których listę powinien był dostarczyć z rana, wydawały mu się haniebnym i bardzo złośliwym wymysłem. Oficer kulturalny uważał się za jednostkę, której przyszło żyć wśród kosmicznych dzikusów. Zostałem poniżony, myślał, i to publicznie. Głaz potraktował mnie jak szczeniaka. Muszę się na nim odegrać!

Dochodziła dwunasta. Gorycz własnej klęski napawała Seps obrzydzeniem. Cóż mógł uczynić? Czuł się jak niewolnik, zmuszony do hańbiącej i bezsensownej pracy. Ale kiedy von Bromberg uruchomił automaty, Sep ślęczał już w sali map, wypełniając czystym, kaligraficznym pismem kolejne strony służbowego notatnika.

Zrazu osobliwe zajęcie traktował z pogardliwym dystansem. Nigdy zresztą nie szanował zanadto astronautycznego ceremoniału, w którym nazewnictwo odgrywa zasadniczą rolę. Jednak im bardziej zagłębiał się w grube foliały wykazów, im częściej błądził po kartograficznych siatkach, aby natrafić na okruszynę czegoś, co w przeszłości uznano wartym miana, tym sugestywniej dawał się ponieść rozbudzonej ochoczo wyobraźni. Spoza wydłużającego się spisu ukazywała się tajemnicza, kryjąca nieprzebadane zjawiska przestrzeni, „kocie uniwersum” przykuwające uwagę logiką wzajemnych związków i niedopowiedzeń. Tuż obok wymawialnego świata zjawił się raptem inny, pozbawiony nazw. Bezimiennosc czyniła go groźnym i nieobliczalnym. Pilny eksplorator, obdarzony intuicją i fantazją znajdował w nim coś kuszącego, jakby rozwinięcie kosmosu, który już z dawna poznany, uzyskiwał tą właśnie metodą nowy, ekscytujący wymiar. Na pustych kartonach, w płaszczyznach opisanych jako mało zbadane, tkwiły, niczym przecucia, zaludniające pustkę przez nikogo jeszcze nie wypowiedziane nazwy, nie mniej rzeczywiste od faktycznie istniejących planet, mgławic i gwiazd. Pojawiały się coraz liczniej w notatniku, uzupełniając spis oficjalny, wydłużając go i rozbudowując, aż Sep bez reszty uległ magii puszysto-zoologicznych słów. Podkreślał nawet co dźwięczniejsze i odczytywał na głos, porwany rytmem „Czarnych Panter mgławicy Koci Zęb”, „Puszystych Kociąt w skupisku Lwa”, czy „Żółtych Żrenic w gwiazdozbiornie Pumi”. Zaskoczony taką mnogością próbował otrząsnąć się z leksykalnego uroku, ale pod pióro cisnęły się już następne, jeszcze bardziej ekspresywne miana. Zachowywał się więc jak ślepiec, który, pamiętając najdrobniejsze szczegóły otoczenia, idzie śmieiej, niż widzący przybysz.

Sporządzanie wykazu przeradzało się w grę: każdej istniejącej odpowiadała teraz nazwa nie ujęta w dostępnych źródłach. Mimo to Sep tworzył dla niej współrzędne, niczym odkrywca, rekonstruujący ważny fragment kosmosu. Ważny, ale dla kogo? Wszak były to peryfe-

rie, zbadanie których uznano niegdyś za całkiem niecelowe...

W kilkukrotnych podkreśleniach, w szyku słów, w kolejności kartograficznych danych, ujawniała się coraz wyrazistsza prawidłowość. Tam, gdzie rzedły miana źródłowe, a gęstniały poczęte z rozbudzonej wyobraźni, wprawne oko czytało rozległy układ spiralnych ramion „kociej metagalaktyki”. W samym jej centrum królowała wystygła gwiazda-gigant, opisana przez Pucciniego jako KOTOK.

Przerwawszy pracę, Sep ze zdziwieniem spostrzegł, iż w pokoju map jest ktoś jeszcze. Tansja Standenhouse w niepokojąco czarnym stroju, sięgającym aż do kostek, obserwowała jego twórczy wysiłek z ustawionej na przeciwko kanapki. Teraz uniosła się z gracją i, przeszedłszy kilka kroków, znalazła się tuż ponad stosikiem zapisanych kartek. Jednym ruchem czarnej, obszernej fałdy, strąciła je z autorskich kolan i oświadczyła leniwie:

— Nudzę się...

Oficer kulturalny nie mógł puścić mimo uszu takiego wyznania. Nie tylko dlatego, iż złożyła je Tansja, do której czuł pewną, od niedawna wyraźnie nasilającą się skłonność. Nuda na pancerniku Hundertoler była — i słusznie — surowo zakazana. Nuda jest gorsza od pleśni — mawiał komodor — i należało się z nim zgodzić.

Toteż Sep natychmiast przystąpił do działań rutynowych. Nie dysponując analizatorem psychicznym wpatrzył się, nie bez czułości, w żółto-zielone tęczęwki dziewczyny i, nieco zająkliwie, rzekł:

— Pani nie powinna się nudzić... Pani jest taka piękna...

W jego głosie brzmiało najszczerze zaangażowanie. Tansja uśmiechnęła się, odsłaniając bardzo białe zęby i z naturalnością zwierzęcia usiadła mu na kolanach, zrzucając resztę zapisków na mocno już zaśmieconą podłogę.

— Tansjo, co pani... — usiłował wydostać się z puszystości futrzanej pelisy, od której bił nieuchwytny, lecz złowrogi zapach, przypominający świeżą krew.

Zaśmiała się, chwytając go za włosy. Czując silny uścisk poddał się na moment; ich oddechy łączyły się, wargi zbliżyły i wtedy właśnie Sep nie wytrzymał: — Zniszczysz moje notatki! — krzyknął, odpychając dziewczynę. Czarna pelisa z furkotem spadła z jej ramion. Leżała na kanapce naga, uśmiechająca się, zwycięska, podczas gdy futro rozlewało się na porzuconych papierach, niczym wielki kleks. Sep nie miał czasu zajmować się halucynacją; nie miał już czasu nawet na pełne satysfakcji westchnienie...

Nastąpił ranek pełen trwożnych pogłosek i niewytłumaczalnych oczekiwań.

Z pozoru działo się niewiele: pobudka, gimnastyka, posiłek, rozejście się do codziennych zajęć. I tylko szeptem przekazywana informacja, domyślne spojrzenia i przemilczanie pewnych kłopotliwych nazwisk świadczyło o tym, iż zwykły rytm życia na Hundertolerze uległ nagłemu zachwianiu, jakby wszechmocny kpiarz wyciął szcztka w czubek hierarchicznego i regulaminowego nosa.

Bez szemrania przyjęto oficjalną wersję śmierci kocura. Ale wątpliwości pozostały, wzbudzając coraz lękliwszą ciekawość. Oczekiwano rozstrzygającego wydarzenia, nowych, bardziej jednoznacznych faktów, przed którymi jednak cofaliśmy się w obawie, iż będą znacznie gorsze od dotychczasowych. Ktoś, z daleka, dostrzegał czarną sylwetkę, ktoś słyszał, lecz niewyraźnie, dziwny odgłos, podobny do zgrzytu zardzewiałej śluzы, to znów kolejny, domorośły badacz kojarzył odcisnięte w kurzu ślady z kształtem łap pewnego zwierzęcia.

Wymizerowany Purmaker nie przesiadywał tego popołudnia na mostku. Zniknął wystarczająco szybko, by dać powód dla kolejnych plotek. Wkrótce ujrzano von Bromberga, wlokącego się do komodorskich apartamentów. Już wcześniej znalazł się tam szef tajnych służb Aleksander Miodragowić Nahousek. Był najlepiej poinformowanym człowiekiem na statku i jego raport o stratach poniesionych w nocy mógł przemówić nawet do kostycznej wyobraźni Głaza.

Nie wydaje się zresztą, by trzeba było przemawiać do niej nazbyt obrazowo. Purmaker potrafił dostrzec, co się święci. Wnioski, jak zwykle, wyciągał sam.

— Von Błombęg — rzekł na przywitanie Sykstyna — złujnowałeś mi statek. Aleszt będzie jedynie słabym zadośćuczynieniem poniesionych szkód...

Sykstynem targnęła rozpacz, lecz dwóch roślących osiłeków chwyciło go pod ręce i pozbawiło możliwości repliki.

Nie lubię widoku aresztantów. Zbyt dużo wspomnień odżywa we mnie, abym panował nad współczuciem. Ku memu zaskoczeniu załoga również wyrażała żal, gdy von Bromberg dołączył do ofiar zgotowanego przez siebie pandemonium...

Po rozprawieniu się z winowajcą nasepiony Purmaker słuchał raportu Nahouska.

— Trzech zaginionych: Tansja Standenhouse — technik elektronik, Sep Puccini — oficer kulturalny oraz Horacy Medous — bosman. Jak się wydaje brak między nimi jakichkolwiek uchwytnych powiązań. Przeciwnie, psychotronicy umieszczają te osobowości na zupełnie przeciwstawnych biegunach. Zastanawia więc zbiorowe zniknięcie; co prawda sprząta-czka nocnej zmiany widziała Pucciniego, a następnie Standenhouse, wychodzących z pokoju map. Z ogólnych ustaleń marszruty Medousa zgaduję, że i on mógł przechodzić koło inkryminowanego pomieszczenia... A propos, komodorze, pan także lubi tam przebywać...

Tylko szczególnie doświadczenia ostatnich godzin i oczywiste wyczerpanie Purmakera uratowało szefa tajnych służb od sarkastycznej riposty, w rodzaju:

— Szpicluj pan kogo chcesz, ale ode mnie — wała...

Jednak Nahousek nie mylił się. Dla Purmakera pokój map stanowił tęsknie wyglądany azyl, zwłaszcza w ciężkich i wymagających rzetelnego namysłu okresach. Zapewne ciągnęła go tutaj niepowtarzalna aura dawno zarzuconych tradycji, patyna zapadłych w przeszłość zwyczajów, kiedy tytanowym cyrklem wymierzano zawrotne parseki, a wianuszek głów nachylał się nad karkołomnym torem przelotu... Komodor lubił ciepłą bliskość ogromnych prostokątów, ukazujących kosmos bez właściwej dla komputerów trójwymiarowej iluzji. Dopiero w takim otoczeniu mógł zatopić się w myślach, roztrząsać poważne zagadnienia i w ogóle — koncytować. Zajęcie to niejednokrotnie przeradzało się w nader krzepiącą drzemkę...

Sądzę, iż półgodzinny sen, z najwyższym trudem chroniony przed ogólną ciekawością, znaczył dla psychiki Purmakera tyle, co katharsis w misteriach pradawnych ludów. Jakże chciałem go wtedy oglądać — rozluźnionego, w bezruchu, pośród woni zakurzonych map... Niestety, w takim nastroju nie dopuszczał do siebie nikogo.

Wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu godzin legły ciężkim brzemieniem na jego twar-dych barkach. Potrafił stawiać czoło trudnościom o ile dawały się określić jasno i niedwuznac-znie. Obecnie walczył z groteskowym upiorem i musiał się zastanowić nad sytuacją. Odpra-wiwszy Nahouska nie powrócił na mostek, lecz, unikając przypadkowych spotkań, pospieszył do pokoju map. Po drodze myślał o zaginionych. Byłoby osobliwe, gdyby wszyscy znaleźli się w tym właśnie miejscu. Irytująca bezczelność; z jaką lekkomyślnością i niemal święto-kradczą swobodą przekraczali próg jego sanktuarium. Na przyszłość zabroni wstępu i zare-zerwuje pokój wyłącznie na własny użytek.

Kiedy zniknął za drzwiami, przez flagowy pancernik Wielkiej Floty Galaktycznej Stre-fy Płomieni Hundertoler przeszła, oczywista przy takiej okazji, fala rozkosznej anarchii. Tym razem jej ośrodek znajdował się w okolicach kuchni, gdzie nadal opłakiwano pocziwego kucharza Georgecieux i snuto jak najgorsze prognozy nad pustą miską nieodżałowanej angory. Fala ta, zataczając koncentryczne kręgi, powróciła rychło pod komodorski próg.

W drzwi pokoju zabębnił rezolutnie młodociany boy. Trzymał pod pachą dobrze osznu-rowany plik notatek. Przeszłszy z nogi na nogę, niczym piechur zatrzymany w drodze, niecierpliwił się coraz bardziej. Jego odwaga przekraczała granicę służbistości; był teraz bezczelnym chłopakiem, usiłującym zakłócić święty komodorski spokój.

Choćby z tego powodu Głaz musiał się objawić w całym, surowym majestacie. Z uchylonych drzwi wysunęła się cicho nienaturalnie czerwona twarz pierwszego po Bogu. Chłopak zastygł z głupawym wyrazem nadąsania. Czas pewien obaj spoglądali na siebie i trzeba przyznać, że nie wyglądali na zachwyconych.

Spoza głowy Purmakera płynęły zamierające szurgoty, jakby w pokoju map kończono zabawę w berka. Głaz westchnął i szpara powiększyła się, odsłaniając wnętrze. W bezsłowny sposób harmonizowało z wyrazem twarzy Purmakera. Większość map leżała na podłodze, w potwornym galimatiasie wstęg i załamów, jakby ktoś rozmyślnie mieszał je i ugniatał, tworząc malowniczo falujący pejzaż. Osuwając się, tworzył on zmienne, lokalne krajobrazy, złożone z wyraziście czarnych dolin i rozgwieżdżonych przełęczy między śnieżnymi szczytami. Pozostałe na ścianach kartony pełne dziur i zadrapań, wpisywały w ciemność płaszczyzn obskurancką zieleń przebijającą spod nich tapety.

Głaz uniósł rękę z takim wysiłkiem, jakby przepchnięcie jej przez drzwi równało się połączeniu dwu niezależnych wszechświatów. Zbliżywszy osznurowany pakiet do oczu, czytał bezbarwnie:

— Ocelot meskuryjski — kometa, Rys Sammitów — gwiazda podwójna w skupisku tysiąca Miau...

Powoli źrenice znikwały mu za nasuwającym się z kącików oczu bielmem.

— Co... to... jest? — zarzęził.

— Notatki — odparł szybciotko chłopak. — Zostawione dla pana w mesie, z dopiskiem „bardzo pilne”; dlatego przyniosłem natychmiast...

Głaz potulnie obejrzał wskazywany przez boya zamaszty dopisek.

— Kocie obiekty kosmiczne — przesyłabizował męczeńsko i jego purpurowa twarz rozciągnęła się w długim, spazmatycznym i siniejącym uśmiechu...

Wspominałem już o hipnagogu; zmyślna maszynka, pozwalająca uciec od koszmarów w ciepłą nicość tkliwego szeptu o kompetentnym dowódcy, wspaniałych oficerach, niezawodnym statku i jego cudownej misji... Czarny kocur był jedynie groteskową złudą wobec tej wzruszającej opowieści...

Wspaniały, hipnagogiczny spokój co noc przenikał karnych załogantów Hundertolera. Toteż, mimo tragicznych doświadczeń „brombergiańskiej nocy”, hipnagog stał się obecnie popularną odtrutką; oferowane sny były przecież tak proste i jasne, a przez to niepodobne do mrocznej rzeczywistości...

Nastrój tamtych, przejściowych dni, byłby zapewne nieco znośniejszy, gdybyśmy otwarcie mówili o swych obawach. Ale przemożna nieufność wzbraniała nam szczerych wynurzeń. Nikt nie odważał się rozpocząć publicznej dyskusji. Kwasy i wzajemne pretensje zagłuszały obawę o przyszłość, a nieustanne przeczucie zagrożenia pustoszyło dotychczasowe związki koleżeństwa i przyjaźni.

Uodporniony na hipnagogiczny raj z mieszanymi uczuciami obserwowałem coraz powszechniejszą ucieczkę w świat zaprogramowanego kłamstwa. Nawet ci, którzy zazwyczaj wyrażali swą rezerwę wobec purmakerowskiego drylu, z wdzięcznością zapadali w oficjalny sen.

Musiałem znaleźć sposób, aby strach przed kocurem nie wzmacniał autorytetu komodora. Uzbrowiwszy się w cierpliwość, czekałem na pierwsze wyniki.

Kiedy wieczorem odwiedził mnie Linius Gulbekian, zyskałem niezbitą dowód skuteczności obranych środków. Jak łatwo się domyślić wykonałem jedynie drobny, acz sugestywny manewr z hipnagogicznym szalbierstwem...

Wachtowy prezentował się nędznie. Zbaraniałymi ślepkami wypatrywał czegoś po ścianach, a jego ręce wykonywały nieskoordynowany taniec wokół brzucha, jakby grał na akordeonie.

Linius mógł przeżywać krzywdę. Czyż nie on pierwszy napotkał kocura, czyż nie jemu właśnie wypadło spędzić dramatyczną dobę w podłych warunkach karceru? Niewątpliwie, był ofiarą, a nawet kimś w rodzaju kombatanta kociej historii.

— Dobrze się czujesz, Linku? — zapytałem serdecznie, pragnąc wyrwać go z poetyckiej fazy osłupienia.

Zamrugał oczami i przyjrzał mi się uważnie.

— Myślałem, że dawno jesteś na Ziemi — mruknął. Rzeczywiście, od daty procesu nie zauważał mojej obecności.

— No cóż, pucybut nie wpada w oko — przyznałem skromnie.

Spojrzał raz jeszcze, upewniając się, czy nie żartuję.

— Po co ja właściwie przyszedłem?

Posłałem mu szeroki i swobodny uśmiech.

— Sen, Linku, miałeś szczególny sen...

— A tak — przyznał, wzdrygając się, już bez reszty podporządkowany pragnieniu zwierzania się z okropnych wspomnień.

— Duży, tłusty i ...czarny! — wyrecytował, przełykając ślinę.

Gałki oczne zadygotały mu w ciasnych oczodołach, niczym łebki wbitych tam szpilek. Czekał pomocy.

— Kot? — rzekłem pojednawczo — czarny, tłusty i duży...?

— ...

Odwzajemnił się spojrzeniem, w którym wdzięczność walczyła z nienawiścią.

— Żeby tylko... Ale i Purmaker... i Medous... i jakaś — parka, wszyscy...

Ceglaste plamy na skórze policzków przypominały z nagłą zaognioną egzemę.

Oblizal spierzchnięte wargi. — Ledwie się zdrzemnałem — wyznał, garbiąc się żalśnie.

Czas jakiś milczeliśmy.

— Najpierw bieg — przemówił głucho. — W dół, coraz niżej. Kto mnie ściga? Nie wiem. Ale słyszę: tuż za plecami, miękkie, mięciutkie kroczyki... A potem — drzwi, ogromne, rosną przede mną, a może to ja — maleję? Relatywizm. Tkwią na dnie. Jakby szklanki. Okrągła. Zamknięta. Bez wyjścia. Ściany, sufit — dalekie. I głosy; huk. Nie rozumiem słowa. On — w środku.

— On?

— Purmaker...

Zatrząsł się na dźwięk tego imienia, przerażony, iż wyszło z jego ust.

Nie Purmaker! — protestował przebiegle. — Tylko trzewiki. Wiesz, takie staroświeckie. Komodor ich używa. Idą: lewy, prawy, rozumiesz. Nie przemieszczają się, tylko tupią — w miejscu. Jakby przestępował z nogi — na nogę...

Och, jak dobrze rozumiałem wyczuwane w tych nieprzytomnych słowach obrzydzenie. Zaleciał mnie zapach pasty, którą codziennie glansuję purmakerowskie buciory.

— Tupie! — powtórzył Linek. — Uwaga, mówię sobie, ostrożnie, bo rozdepcze. Jednak czemu on — tak? Z jakiego, znaczy, powodu?

I zaraz, jakby ktoś słyszał moje myśli, w tej szklance, w której tkwią razem z butami — coś się zmienia. Nowa ściana, nie, raczej drzwi, już otwarte, a dalej — mapa.

Zrobiło mi się lżej. Poznałem, jakże mógłbym zapomnieć. Nie żadna szklanka, tylko pokój map. Kanapka, A na kanapce — tych dwoje. Całują się. Długo. Jakoś namiętnie. Od razu spostrzegłem, że tak nie można — zbyt długo...

Ale nic, nic — Linius trzepocze rękami, rozciągając niewidoczny akordeon w zgrzytliwym pasażu — pocałunek rzecz zwykła. Tylko te nogi. Olbrzymie. I huk. Huk, ach, huk!!!

Wiem i nie wiem, że śnię. Tak, śnię, ale inaczej. Bo strach wcale nie ze snu. I nogi też

— prawdziwe. Co to, nóg nie widziałem?

Znasz Purmakera? Diabeł! Nigdy nie wiadomo, co wymyśli. Więc teraz — nogi. Podstęp. W jego stylu.

Zadzieram głowę wysoko. Nic, tylko nogi. W mundurowych spodniach, z lampasem. Znasz te spodnie, z kantem i mankietami? A wyżej, coś jakby ptak. Ptak? Powiedz: nogi, a wyżej — ptak?

Linius śmieje się histerycznie i niełatwo go uspokoić. Wreszcie milknie, oddychając płytko, wyczerpany, jak po długodystansowym biegu. Teraz opowieść jest jeszcze bardziej porwana i fragmentaryczna, lecz nie staram się niczego porządkować, zafascynowany jej ekspresją.

— Ptak? Nie, nie ptak. Nonsens. Przekonuję sam siebie, że nonsens. We śnie, ale jakby na jawie. Cóż, że nie ptak. Trudno ocenić, choć nie jest ciemno, lecz to, na co patrzę zdaje się zbyt wielkie, rozplywa się, znika...

Twarz, ludzka twarz!!!

Daję słowo.

Medous!

Ale jakże — Medous w komodorskich spodniach?

Wpizam się wzrokiem, muszę wiedzieć, nie przepuszczę, choćbym oślepl. Aha, oczywiście. Ta twarz nie łączy się z nogami. Po prostu — jest. Trochę z boku. A nogi bardziej w prawo. Tupią. Idą. Teraz — idą, coraz bliżej i bliżej. Chcą zmiażdżyć.

Cóż więc robi Medous tam, w górze? Fruwa! Kraży! Są i ramiona — długie, skrzydlate, nawet palce trzyma rozstawione szeroko. Dlaczego nie widziałem wcześniej? A mina, o, mina...

Sęp, istny sęp!

Spadnie i pochwyci!

Nogi — zadcpczą.

A tamtych dwoje — całuje się, jak się całuje, świata nie widzą, nic, tylko ich wargi, przekrwione, wielkie, razem, on — ją, ona jego, aaa...

I robi się jakoś pięknie. Strasznie, a pięknie. Nie zrozumiesz. Nie byłeś tam. W mapie — okno, nie okno, to mapa jest oknem, a dalej przestrzeń, kosmos, ucieczka, szansa ucieczki...

Och... i Medous już to widzi, szybuje w sam środek, przerywa kartograficzną sieć i, po drugiej stronie, macha ręką, wabi... Coś podrywa kochanków, przenikają płaszczyznę mapy niczym lustro połyskującego mroku i płyną, odpływają, coraz dalej, w nieskończoną łagodność pustki...

Jedynie buty, nogi, spodnie — niecierpliwiają się, wściekają, łomoczą, głos — huczy, słowa niepojęte, lecz w domyśle: protest. Śmieszne: kto protestuje? Na co się nie zgadza?

Wtedy — najgorsze. Nogi podbiegają do ściany i nagle — spada, rozbija się lustro, zatrzaskuje okno, a przecież...

Gulbekian krztusi się, zda się umiera; dłonie podrygują w ostatnich konwulsjach, ciało pada na koję, oczy w sęp, nos wyostrzony...

I nagle pierwsze łzy tryskają spod wyprężonych powiek. Z łkań wychwytyją pospieszny bełkot i składam wstydlive wyznanie:

— Przecież ja... ja też pragnąłem... właśnie tam... na wolność.

Nie pocieszam Linius, pozwalam, by dopełnił obrzędu rozpaczy.

Znów jest gotów opowiadać, szybko, jakby się bał, że nie starczy mu odwagi albo przeszkodzi zawstydzenie. Uskoczył przed pędzącymi nogami, lecz to już nie buty i spodnie. Pojawił się łeb — plugawy, wąsiska jak anteny, uśmiech — mięsożerny, ratunku!

Łeb patrzy zielonym okiem, drugie przymknięte, śpi? — a ja nie wiem, jak uciec, schować się, zasłonić...

On — coraz bliżej, coś ryczy, nadyma gardziel, czarną, potworną...

Purmaker! To on! Kot? Purmaker? Purmaker — kot. Kot, czyli Purmaker. Komodor zamienił się w kota.

Nie, nie zamienił: on jest kocurem. Upiorem. Zniszczy mnie, ciebie, nas... Cały statek! I Flotę. Wielką Galaktyczną. Wspaniałą Galaktyczną... — krzyczał Linius, tłamsząc w rozlatanych dłoniach moją najlepszą poduszkę...

Niestety, moi wrogowie nie próżnowali. Tajemnicą poliszynela było intensywne dochodzenie, podjęte przez Nahouska Śledztwo koncentrowało się — a jakże — wokół pokoju map. W rogu karty przedstawiającej Gwiazdozbiór Larneański zidentyfikowano kilka długich nacięć, dokonanych ostrym, szablastym narzędziem. Na odwrocie kartonu z mgławicą Weneli dostrzeżono odciski łap, pozostawionych tu, niczym pieczęć na oryginale.

Dowody zabezpieczono i poddano skrupulatnym oględzinom. Po raz pierwszy od wielu lat komodor zwrócił się do naukowców. Prowadzone w bezwzględnej tajemnicy prace nie miały najmniejszych szans upowszechnienia wśród załogantów Wielkiej Galaktycznej. W ten sposób popełniono kardynalny błąd. Gdyby przypuszczenia uczonych stały się własnością całej załogi los Floty i pancernika Hundertoler przybrałby może inny, mniej dramatyczny obrót.

Jako się rzekło, Purmaker nie dowierzał naukowcom. Zapewne też nie dowierzał samemu sobie. Wplątany w subtelną sieć podejrzeń nie chciał przyznać, że „koci syndrom” nadal istnieje. Dlatego referaty uczonych ostatecznie musiały trafić do kosza... Tam też je znalazłem.

Pierwszy starał się opisać fakty i podać ich najbardziej bezpośrednią interpretację. Faktem była ruina pokoju map, sugerowaną przyczyną — kot w skrajnym amoku.

Komodor z oburzeniem odrzucił tę wersję, stwierdzając, iż cały czas był przytomny i nie zauważył obecności jakiegokolwiek czworonoga. Ponadto spustoszenia wydają się zbyt wielkie w porównaniu z możliwościami bądź co bądź niewielkiego zwierzęcia.

Drugi raport ukazywał swoistość taktów i uogólnił przyczyny. Zauważano, iż zniszczeniu uległy jedynie te partie map, które ukazywały zbadane sektory kosmosu. Natomiast linie zadrapań biegły ku tak zwanej „dzikiej próżni” — pola, rozciągającego się w uchyłku między dobrze poznanymi mgławicami. Ze względu na peryferyjność i całkowitą jałowość „dzikiej próżni” dawno zaniechano jej wykorzystania. Wiadomościom o tych kilkuset parsekach brakowało precyzji i aktualności.

Może więc — sugerował raport — jesteście świadkami oddziaływania sił o niewątpliwie fizycznym charakterze (odciski łap!) biorących początek w głębinach zapoznanej pustki...

Trzeci raport omawiał skrajne konsekwencje zdarzeń. Jeśli pancernik stał się obiektem trudnej do opisanego „kociej inwazji”, należy przedsięwziąć stanowcze działania, ubiegające zamiary napastników...

Komodor i ten wariant odrzucił, niemniej z najwyższą oceną. Następnie zwołał specjalną naradę zapraszając do udziału kierowników naukowych wszystkich trzech raportów. Najstarszy stopniem i wiekiem Atenius Mestonel przemówił z właściwą dla uczonych ostrożnością:

— Nie zaprzeczam, iż pełne wyjaśnienie zaistniałych zjawisk przekracza nasze możliwości. Jeśli prawdą jest to, co zdołaliśmy ustalić, trudno wytykać nam niekompetencję, gdyż nadal nie znamy kapitalnych świadectw, wśród nich pańskiej relacji, komodorze. Od pewnego czasu w moim laboratorium obserwujemy drobne fenomeny, świadczące o zaburzeniach czasowo-przestrzennych. Osobiście sądzę, iż przygoda z pokojem map jest zachętą, abyśmy uważniej rozejrzeli się wokół siebie...

Mestonel mówił jeszcze długo w tym stylu. Głaz nie polemizował. Kiedy profesor skończył, komodor po żołniersku rozprawił się z siewcami nieuzasadnionego niepokoju. Liczy się

jedynie zwartość załogi. Co ją rozbija? Pogłoski, niesprawdzone fakty, fikcja. Co więc należy zrobić?

Ponieważ naukowcy milczeli, Aleksander Miodragović Nahousek, stojący dotąd skromnie z boku, śmiało przedstawił własną koncepcję:

Nie ma, oczywiście, mowy o superkocie. Zniszczeń dokonał nieznaną przybłąda, wspólnie z angorą. Miłosne harce tych zwierząt mogą spowodować daleko większe spustoszenia. To, że przeszukiwania nie przyniosły rezultatów świadczy jedynie o wyjątkowej nieudolności konkretnych osób...

I to był koniec narady. Głaz zatrzymał jedynie Nahouska. Aleksander Miodragović pytał w duchu, czym zasłużył na wyróżnienie. Przysiadłszy na brzeжку krzesła zamienił się w słuch. Purmaker długo milczał, bawiąc się dewizką archaicznego zegarka. Potężna cebula tykała niemiłosiernie, wywołując u szefa tajnych służb groźne objawy migreny.

Nareszcie Głaz łaskawie zauważył bolesną minę podwładnego.

— Nie mam do ciebie pretensji — mruknął. — Ale zostaw ty tego kocura w spokoju... Obchodzi nas tylko to, co mówi załoga. Jeśli twierdzi, że jest — to jest, i najbardziej klarowne wyjaśnienia nic nie pomogą. Musimy pozbyć się nie rzeczywistego kocura, lecz mitu o nim... Oficjalnie zaprzeczamy i co z tego! Rzecz w tym, by odwrócić uwagę, skierować ją na inne tory. Zainscenizować, że zwierzak zdechł. W każdym razie zrobić coś, co zatrze przykre wrażenie...

Nahousek przybrał pozę zadumanej nad przyszłością superistoty, ale Głaz nie pozwolił mu na pełne wcielenie się w rolę.

— Nie żądam pomysłu, lecz wykonawstwa — oświadczył. — Wystarczy, że rozumiesz co i dlaczego, a resztę zostaw mnie!

W ten właśnie sposób, jak wolno domniemywać, zapadła decyzja o niedzielnych manewrach.

Przyznam, że komodorski pomysł napędził mi stracha. Nie oczekiwałem aż tak radykalnych kontrposunięć. Pozorowane, bo wszak podjęte dla innej, niż sprawnościowa przyczyny, ćwiczenia wojskowe urastały do rangi symbolu; jeden, niepozorny kot uruchamiał wielką maszynę Hundertolera. Ta niewspółmierność wróżyła wiele nieobliczalnych możliwości...

Czas naglił; zaledwie doba dzieliła mnie od planowanych manewrów. Należało zawczasu upolować grubą zwierzynę. Nie zaprzeczam, iż przymierzałem się do tego z pełną premedytacją człowieka, który zagrywa *va banque*.

Aleksander Miodragović Nahousek nie używał hipnagogu. Jeśli, to głównie po to, aby sprawdzić niezawodność jego działania. Niegdyś sam przyczynił się do stworzenia komputerowego algorytmu, wyzwalającego we śnie prawowierne uczucia. Nie wątpiłem, iż ten właśnie sposób utrzymywania właściwej dyscypliny cenił sobie najbardziej.

Toteż nie bez satysfakcji, podminowanej naturalną w takich okolicznościach niepewnością, obserwowałem wkraczającego do mej kajuty szefa tajnych służb. Biła północ z soboty na niedzielę, czas jakby się zatrzymał, Nahousek nie wyglądał najzdrowiej, a ja, wyczerpany prawie całodziennym oczekiwaniem, nieco spuściłem z tonu. Przy Aleksandrze Miodragoviću prędzej czy później bolała głowa; znak, iż przestawałeś z rasowym policjantem.

Niezdrowy wygląd Nahouska brał się z faktu, iż już we wczesnych godzinach wieczornych włączył był hipnagog, poddając się całkowicie sprzecznej z własnym instynktem sugestii. Tę, niszczącą jego układ nerwowy decyzję, sprowokowała wizyta, jaką mu złożyłem przed obiadem.

Siedział wówczas za obszernym biurkiem, połączonym z komputerową pamięcią. Wybrawszy stosowny przycisk zapytał MAXIKOMPA o przebieg mej służby. Dotarłszy do wzmianki o procesie jakby się zdziwił. Taki los zasługiwał u niego zaledwie na nieznaczne uniesienie brwi.

— A zatem? — spytał, dając do zrozumienia, że jego czas jest ograniczony.

— Melduję, że niepokoi mnie funkcjonowanie osobistego hipnagogu — odparłem, tonem uroczystym i solennym. — Zamiast oczekiwanego uspokojenia, każda noc zapełnia mą wyobraźnię koszmarami...

Nie odważyłem się ich opisać, napomykając jedynie, że posiadają niejaki związek z kotem. Na świadka tych doznań przywołałem wachtowego Gulbekiana. On również cierpi na podobne omamy...

Nahousek zażądał od komputera informacji o moim stanie zdrowia. Kiedy odczytał krzepiące dane, spróbowałem wzmocnić pierwszy efekt:

— Nie doświadczałem dotąd niczego, co pozbawiałoby mnie nieodzownych do życia w zespole pryncypiów — zaskomlałem. — Jestem roztrzęsiony. Podobnie inni członkowie załogi, zwłaszcza z pobliskich kajut. Nie wątpię, że przyczyną utraty przez nas równowagi jest usterka hipnagogu.

Miodragowić zapewnił, że sprawę wyjaśni. Przestrzegł mimochodem, iż nie należy podważać zaufania do systemu, który nigdy jeszcze nie zawiódł. Obiecałem dyskrecję.

Na odchodnym polecił mi wezwać Gulbekiana.

Uczyniłem to z prawdziwą przyjemnością.

Niemal w dwanaście godzin później szef tajnych służb stał przede mną — nieprzytomny, zestrachany i całkowicie, jak sądziłem, bezwolny.

Już od progu Aleksander Miodragowić zachichotał rozpaczliwie, po czym przykucnął, kryjąc co szlachetniejsze części ciała przed wyimaginowanym przeciwnikiem, unosząc się chyba tuż nad naszymi głowami. Teraz gotów był zwierzyć się z rozpierających go uczuć. Spowiedzi dokonywał niezwykle gwałtownie, ciągnąc za rękaw mojej najulubieńszej pidżamy.

- Miałeś rację, świętą rację — zaintonował — a ja, dureń, podejrzewałem bóg wie co...

Jego nachalność zmusiła mnie do kilku celnych kuksańców. Dopiero, gdy dostał po łapach, uspokoił się na tyle, aby mówić dalej.

- Ty nie wiesz, ale ja wiem! Co do Medousa, Pucciniego i tej tam... Standenhouse osiągnąłem kilka znaczących sukcesów. Czym są poszlaki? Moi ludzie zanalizowali materiał dowodowy. Nie do podważenia, rozumiesz... i co? Ta trójka musi znajdować się na statku. Musi? Śmieszne...

Zapatrzył się w przestrzeń. Obwisły podbródek kołysał się łagodnie, jakby przeczył każdemu wypowiedzanemu słowu.

— No sam powiedz — ciągnął mentorsko. — Brak dowodów, że wyszli na zewnątrz. Z drugiej strony dwaj mężczyźni i kobieta to nie jakiś zwierzak. Gdzie ukrywaliby się tak długo? I po co?

Kolejny atak agresji odparłem mocnym ciosem pod żebro. Zakaszłał, demonstrując nagłe pragnienie męczeństwa.

— No, dlaczego ja do ciebie przyszedłem? — wybąkał płaczliwie. — Ty, ty... przyjacielu kotów!

Zatrwożył mnie. Domyślał się czegoś? W uduchowionych do obrzydliwości szparkach źrenic odgadywałem jedynie wpływ hipnagogicznego programu. A może udawał? Zgrywał się, chichocząc półgębkiem z mej naiwności...? Może już dawno przejrzał sens gry i teraz wciela się w ofiarę, pęczniejąc od zandarmskiej uciechy?

Peszył go badawczy wzrok. Zawiercił się, umościł, aż koja skrzypnęła, i, skubiąc tym razem własny rękaw, rzekł:

— Oni... tu... są. Zakpili z tajnych służb, ze mnie, z komodora... Ale ja im odpłacę. Pięknym za nadobne...!

— Są? — spytałem z podchwytliwą ironią.

Wlepił we mnie rozgorączkowane oczy.

— Mówisz jak te beztalencia z dochodzeniówki! Nie mieści im się w głowach! Co ci mam powiedzieć, skoro jesteś tak tępy? Pamiętaj: ja — to co innego. Absurd zwalczam absurdem, szaleństwo — szaleństwem! Jeśli komodor tego nie rozumie — pal go lichu! Ja sam, rozumiesz? Bez pomocy! Uczynię to, co trzeba... Zobaczysz!

Spróbowałem inaczej:

— Dostaniesz ich?

Roześmiał się przekornie i zaintonował:

Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek,
na kogo wypadnie, na tego - BĘC!

Był jak rozbrykane dziecko: nie podzielałem jego wesołości, bo wierszyk był mi aż nadto znajomy. W ustach szefa tajnych służb nabierał nowych znaczeń. Ale jakich? Zdwoiłem czujność.

Tymczasem Nahousek rozgadał się na dobre. Mówił o Purmakerze z bezwstydną szczerością kogoś, kto po raz pierwszy pozwalał sobie na nią przy świadku. Niewykluczone, że dotychczas gadał tak do lustra.

— Głaz zramolał. Nigdy nie zgodzi się na żaden eksperyment. A nam potrzebna pułapka. Należy zastosować niekonwencjonalną metodę. Mam pomysł, ale nie zdradzę go... Pewnie jesteś ciekaw? To dobrze, to bardzo dobrze...

Droczył się. Chichotał. Potem znów wpadł we wściekłość:

— Oni są niedaleko! Na wyciągnięcie ręki — o!

Rozczapierzone palce rozdrapywały niewidzialnego przeciwnika.

— Mówiłeś że uciekli... — prowokowałem.

— W potocznym rozumieniu, tylko w potocznym rozumieniu... Nie wyjaśnię ci tego zbyt dokładnie, prawdę mówiąc sam niewiele rozumiem — zacukał się i dając jakieś niezrozumiałe sygnały palcem — tchnął:

— Wirtualizm światów to nie złudzenie...

Nieśmiałość tych słów sprawiła, że nachyliłem się ku niemu; sięgnął do mojej szyi, oplótł ramionami j przyciągnął, owiewając gorącym oddechem.

— Szlag mnie trafiał, kiedy jajogłowi to nam wmawiali. Co do Purmakera — on chyba też... nie wierzy. Ale ja nie otworzę mu oczu!

Osiągnął szczyt roznamiętnienia. Aby uwolnić się z ekstatycznego uścisku musiałem unieruchomić obie jego dłonie. Zebrał je w pięści, jakby gotując się do rozstrzygającej walki.

— Dokąd? — zajączał. — Dokąd my lecimy? — No, dokąd? Dokąd?

Ścierały się w nim dwie siły, dwie, przeciwstawne osobowości: jedna halucynacyjna, rozgadana i szukająca współczucia i druga — zasadnicza, oficjalna, bezwzględna.

— Nie wiesz? — zaryczał nieoczekiwanie wytrenowanym w takich sztuczkach głosem. — To ja ci powiem. Do nikąd! Po nic!

Zaklął się w sobie, zmalął. W niemej męce skrobał paskudnie o prześcieradło, aż zęby bolały.

— A Purmaker mówi, że zrezygnowaliśmy z rzeczy niemożliwych...

I znowuż był pełen energii. Zerwawszy się, stanął w pozie na baczność i wydeklamował:

— Planeta KOTOK, szansa zagubionych i potrzebujących...

Drwił. Ale jakoś dwuznacznie. Bo i z czego? Z własnych słów, z siebie, ze mnie? I jako kto? Nahousek, udający ofiarę hipnagogicznej sugestii, czy ofiara teźże nic nie udająca, lecz w zrozumiały sposób zgorzkniała; nie dał mi czasu, aby to rozstrzygnąć.

— Przyjacielu kotów — parsknął — dlaczego nie doceniasz planety KOTOK?

— To legenda — wybąkałem.

— Ależ oni tam są! Wszyscy troje! Na KOTOK, w niebiańskich krainach rozkoszy i wolności. A skoro tak — i ja powinienem... Ząb za ząb, kiel za kiel... Żeby po powrocie

urządzić kilka pokazowych procesów...

Wkraczamy teraz w najbardziej obrazową, zwariowaną i złowróżbną część wspólnej historii, dlatego proszę: miejcie wyrozumiałość dla człowieka, któremu nie tylko dane było ją przeżyć, ale widzi się zmuszonym ją opowiadać... Każde spiętrzenie absurdu na wyboistej drodze tej opowieści wysusza mi gardło i pali język, ale cóż — taki mój los, że brnę przez najgorsze, ożywiany nadzieją, iż zdołam zmienić nieubłagane następstwo wypadków...

Zważywszy, że poranki niedzielne na pancerniku Hundertoler miały swą odwieczną i przez nikogo nie zakłócaną atmosferę cichej błogości, ten poranek i ta atmosfera jak najbardziej zasługiwały na miano nietypowych.

Albowiem na flagowym statku Wielkiej Floty Galaktycznej Strefy Płomieni, ponieważ sam z siebie i bez wyraźniejszych objawów przedwstępnych rozgorzał najzwyczajniejszy... bunt!

Zaczęło się ponoć od kuchennego komputera, który o świcie wyśpiewał programującemu śniadanie kuchcikowi śmieszny, wręcz wulgarny wierszyk:

Entliczek, pętliczek czerwony stoliczek,
na kogo wypadnie, na tego — BĘC!

Potem do skroni kuchcika ktoś przyłożył całkiem niezabawny pistolet i oświadczył, że kuchnię wraz z przyległościami zajmuje samozwańcze komando pod wodzą Sykstyna von Bromberga. Ten mało prawdopodobny fakt, potwierdziły wkrótce energiczne działania oficera administracyjnego. Jakimś cudem wyrwawszy się z izolatki, skrzyknął kilkunastu malkontentów, przeobrażając pomieszczenia gospodarcze w ośrodek zdecydowanego i ambitnego oporu. Szły stamtąd apele radiowe na cały statek, podburzając załogę nie tylko perspektywą braku śniadania. Von Bromberg twierdził, że wszelkiemu złu, które ostatnio rozpanoszyło się na Hundertolerze, winien jest Jim Purmaker. Korzenie zła, odznaczały się imponującą długością i Sykstyn rzekomo posiadał dość informacji dla całej serii zapowiadanych z propagandowym talentem komunikatów.

Praktycznych wniosków, mogących uchodzić za żądania, było w tym oświadczeniu niewiele. Do godziny dziesiątej padł tylko jeden, a mianowicie pozbawienia komodora władzy i wyznaczenia następcy w osobie Outkiepera.

Szef sztabu, zapytany wprost przez Głaza co o tym sądzi, zrobił bardzo zdziwioną minę. Komodor przyglądał się jej przez kilka chwil, po czym oznajmił:

— Gdyby wyraz twarzy świadczył o panu, każdy uczciwie przyznałby, że jesteś pan skończony...

Tu przerwał, odwołany do telefonu, ale większość obecnych przyznawała, że Sykstyn nie mógł trafić gorzej: w Barnabie tkwiło tyle buntowniczej energii, co w wystudzonym, kuchennym szybkowarze.

Z początku więc sam bunt i jego przywódcę traktowano żartobliwie, a nawet poufale. Rzecz tak niezwykła nie wywołała szczególnych zmian w rozkładzie zajęć. Komodor miał się podobno wyrazić, że autentyczne przeszkody jedynie dodadzą manewrom prawdziwych rumieńców.

Ale kiedy z głośników zaczęły płynąć coraz to bardziej bulwersujące oświadczenia. Głaz osobiście pojawił się na mostku.

Właśnie von Bromberg swym dziewczęcym głosikiem obwieszczał wszem i wobec że są wraz z nim „Horacy Medous, Sep Puccini i Tansja Standenhouse”. Rzekomo zaginieni, a naprawdę uprowadzeni, dla wykorzystania ich „w purmakerowskiej grze” rychło zapoznają załogę ze „wstrząsającą prawdą o dążącym do dyktatury ohydku”. Szczegóły co kwadrans, w kolejnych odcinkach...

Na rozkaz Purmakera przystąpiono do natychmiastowego demontażu głośników. Konstrukcja łączy wykluczyła jednak unicestwienie następnej transmisji. Dzięki czemu załoga, nie bez przyjemności, słuchała, co następuje:

„Występny komodor wraz z usługującymi mu oficerami przedsięwziął przewrotny plan zagubienia nas w kosmicznej pustce. Wraz z całą Flotą pogażamy się w peryferyjnych otchłaniach, ułatwiając powstanie szalonego imperium. Przygotowując się do spełnienia swych rojeń komodor posłużył się czarnym kocurem. Zjawienie się tego zwierzęcia zakłóciło psychiczną równowagę załogi. Purnaker nie cofnął się przed morderstwem. Wspomnijmy kucharza Georgecieux i staruszkę Pernyhorna. A wreszcie, pragnąc doprowadzić swój zamysł do zbrodniczego końca, uprowadził Tansję, Sepa i Horacego, z zamiarem oskarżenia niewygodnych dlań oficerów o współudział w porwaniu... Niechże jednak wypowie się ofiara purnakerowskich podstępów — Tansja Standenhouse...”

Niestety, w tejże chwili monterom udało się zerwać ostatnie łącze; głośnik zacharczał i nieodwołalnie umilkł.

— Sąd i wyrok — obiecał Głaz, żywiąc niezachwianą pewnością, że tym razem dostanie w swoje ręce całe zrewoltowane towarzystwo.

Wykorzystując sformowane do manewrów oddziały, wydał rozkaz szturm. Elektroniczne działa trysnęły kaskadą destrukcyjnych cząstek. Von Bromberg ustępował placu, barykaduje się w spizarce.

Zbliżał się moment ostatecznej rozprawy.

Przekazawszy tymczasowe dowództwo pierwszemu oficerowi, Głaz zawrócił do swych apartamentów. Powód tego odejścia nie zdziwił nikogo.

— Zanim ich osądzę — rzekł na odchodnym — muszę wyglądać jak sędzia. Włożę galowy mundur. Należy dbać o symbole...

Pierwszy oficer postanowił rzecz kończyć szybko i bez ceregieli. Znowu zawibrowała roznoszona elektronami przestrzeń.

Spod zgiełku płatanych barbarzyńsko blach przebił się głuchy, mięsożerny ryk. Dobiał z kuchennej windy, opanowanej przez buntowników.

„Pierwszy”, nie dowierzając uszom, wstrzymał ogień.

Czekał.

Ryk powtórzył się, głośniejszy i bliższy. Tym razem w akompaniamencie cierpkiego zgrzytania.

Ciemność szybu pączkowała pazurzastą łapą... Skoncentrowany atak elektronów uderzył w poczwarną osobliwość. Zafalowała; pazury skrobały pokład, ściana szybu miękła pod ogniem, aż rozpadła się ostatecznie w kruczych płachtach kopcia, odsłaniając bezkształtną bryłę, szamoczącą się w za ciasnej dla niej przestrzeni...

Ostry swąd palonego futra powiał ku ludziom.

Łapa, pacnąwszy kilkakrotnie poduchą podbicia o żarzący się pokład, zaczęła smuknąć i wydłużać się, jakby z windy wyciekał cały, zgromadzony tam mrok.

Najdalej wysunięte posterunki niesławnie dały nogę. Pierwszy oficer powstrzymał panikarzy.

— Ogień na pełny regulator! — tak działająca broń przebijała kilkadziesiąt grodzi na przestrzał.

— Seriami... pal!

W nagle nierzeczywistym czasie, przy porażającej świadomości nonsensu tego, co widzimy — pokład zadygotał i znikł, aby pojawić się znowu, jakby dalej, pochłaniany przez dziwną perspektywę odległości. Z pozoru nic się nie zmieniło, jednak każdy — po tej stronie — doświadczał uczucia, iż oglądany obraz jest nieosiągalny. Zwłaszcza, że pomimo maksymalnych ładunków nie notowaliśmy żadnych nowych zniszczeń.

Salwy grzęzły w czymś, co nie było zwykłą przeszkodą; bardziej pustką, w której burza szalejących elektronów przepadała natychmiast, tracąc niesioną energię.

Pierwszy oficer zdumiał się i wstrzymał ogień. W umilkłej przestrzeni dogorywały ostatnie wiry elektronowego huraganu.

— Ochotnik, do mnie!

Z prawej flanki poderwał się jakiś gorliwy stażysta. Oficer obrzucił go kwaśnym spojrzeniem. Stażysta przypominał kurczaka. Zza olbrzymich okularów dwie szparki zbyt inteligentnych oczu. To nie był człowiek, zdolny do takiego zadania.

Żadnych innych zgłoszeń. Cisza, wśród której ludzkie oddechy tańczyły jak jesienne motyle, starzała się przy otwartej po tamtej stronie pustce. Inny świat innego czasu także posiadał własną ciszę, równie jesienną, lecz starzejącą się inaczej — całkiem bez związku z nami.

Po tej stronie „Pierwszy” godził się wewnętrznie na usługi jajogłowego stażysty, polecając mu ruszyć kuchennym korytarzem, gdzie dylatacja czasu wznosiła bramę paradoksu, przyprawiającego o zawrót głowy...

Zapewne oczekujecie teraz szybkich i gwałtownych rozstrzygnięć, czegoś w rodzaju końcowej erupcji, pozwalającej wymienić znaczące spojrzenia i mruknąć: No, oczywiście, tak myślałem...

W trakcie opisywanych wyżej zajęć znajdowałem się w prywatnych apartamentach komodora. Zaniósłem tam cudo rąk własnych — paradny mundur Głaza, pobrzękujący gęstwą orderów. Jest ich trzydzieści sześć; mogło być — trzydzieści siedem, gdyby pościg za Pohlbią zakończył się natychmiastowym sukcesem. Ale to przeszłość, przeszłość zamknięta, obwarowana tysiącem zakazów i fobii, wśród których jest i ta, pucybutowska, która każe mi na gwizdnięcie dźwigać odprasowany do granic wytrzymałości symbol mego upadku. Wieszam mundur na specjalnie przygotowanym stojaku i pukam do drzwi ściśle sekretnej, komodorskiej sypialni.

W tym czasie Głaz szaleje w sektorze kuchennym; ja tkwię nad klamką, przygotowując się wewnętrznie do zwyczajowej bury. Komodor zwykł wstawać w kiepskim humorze.

Pukam długo i bezskutecznie, na próżno czekając głosu, posyłającego mnie do wszystkich diabłów.

Wchodzę. A nie powinienem, gdyż obowiązuje najsurowszy z zakazów: nikomu nie wolno przekraczać tego progu.

Patrzę po ścianach, obwieszonych kolekcją broni palnej i siecznej — ówdzie handgranat na przemian z subtelną piką, a wśród bitewnego żelastwa pejczyk, smukły i czarny, o rzemiennych splotach, jako żywo przywodzących na pamięć węzełkowy zapis. Na własnej skórze czytałem zakarbowane nim przykazania, wśród których jedno czepiło się myśli niczym kleszcz:

„Nie bądź mądrzejszy od Purmakera”.

Raptem, spoza mgły niepokoju, zwid i otrzeźwiających pocieszeń, atakuje mnie czyjeś gadulstwo. To głośnik w suficie chrypi na cały regulator. Przysiadam na komodorskim łożu, jeszcze cały w zadumie, ale już zakłuty pierwszym, drugim zasłyszonym słowem. Chcąc nie chcąc przenikam do innej opowieści, podrzuconej mi jak kukułcze jajo...

„...po osiągnięciu współczynnika, pozwalającego bezpiecznie lądować. Widoczny w dole płaskowyż rozdawał się, niczym w lustrzanym odbiciu. Warstewka gazów, wydobywająca się z porowatych skał załamywała światło. Kurz, wzniecony przez gasnący ciąg silników opływał kadłub statku. Pomimo martwoty otoczenia nie traciłem nadziei, że znajdę tu coś w rodzaju wyznania kosmicznej prawdy...

Tym gorliwiej zastopowałem stery. Czekając, aż zimny strumień jonów wygasi nadmierne promieniowanie, przesunąłem wizjerem wzdłuż jednej z opadających smug kurzu. Miliony brunatnych drobin lśniły niezwykłym, granatowym niemal baskiem, z którego, w mozołe pofruwających niby-wypustek, formował się całkiem nowy kontur. Nie dowierzając oczom oglądałem bezczelnie rozcapierzoną, kocia łapę. Złudzenie? Przypadek? Co prędzej naprowadziłem wizjer na dalsze części wznieconej kurzawy. Przechodziła identyczne przeobrażenie,

jakbym lądował pośród gęstwiny wsiąkających w grunt łap...

Zajęty tym, co działo się obok nie zwracałem uwagi na powolną zmianę horyzontu, który wyginał się i puchł, ciemniejąc coraz gwałtowniej. Zbliżenie ukazało drgający kłęb, jakby włosów. Czujniki podawały informacje o gęstości, temperaturze, potencjale energetycznym i grawitacyjnym zaobserwowanego zjawiska, lecz były to dane zbyt zaskakujące, abym w pierwszej chwili mógł im dać wiarę.

Obiekt zrównał się właśnie ze średniej wielkości pagórkiem, za to potencjał... Jeszcze mniej prawdopodobne wydały mi się wskazania temperatury.

Cóż to mogło być? Zawirowanie elektromagnetyczne, zapasć termostatyczna, superlokalny układ zamknięty, izolacja elektronowa, jakaś kombinacja struktur wsobnych energetycznie, neutralnych wobec przepływów zewnętrznych?

Nagliłem z wyjaśnieniami. Powinienem odpalić sondę, ale procedura wlokłaby się w nieskończoność...

Pchnąłem dźwąg pionowego startu. Jonowy strumień uderzył o skały, wzniecając pyłową osmiornicę. Trzepocząc ramionami próbowała opleść rozdzierający ją wichur, by w końcu rozpaść się na mniejsze fragmenty, odrzucane z impetem daleko od statku.

Wizjery, omiatające horyzont, zaczynały dostrzegać coraz to nowe szczegóły. Wraz z malejącą odległością z czarnej, bezkształtnej bryły wydzielał się kosmaty, ostry trójkąt i strzygł w charakterystyczny, czujny sposób czegoś dobrze znanego...

Pragnąłem, aby mnie właściwie zrozumiano. Oczekiwałem niespodzianki. Lecz kiedy spojrzałem w żółtą tęczówkę, nakrapianą zielonymi cętkami — straciłem równowagę ducha.

Oko śledziło mnie rozumnie i statecznie, ciągle poza zasięgiem rozbijanego przez statek pyłu. Lecz sierść potwora już zaczynała się burzyć, czesana zadziornymi podmuchami, a potężne wąsiska, ustawione na sztorc, przejmował idący z przestworzy dygot.

Kocur przeciągnął się, snadź zdrętwiał od przycupnięcia. Teraz dopiero oceniłem jego niepospolite rozmiary. Szczególnie zastanawiał nastroszony ogon, ze złowróżbną powolnością unoszący się nad wygiętym grzbietem.

Zbliżałem się, pełen najgorszych przeczuć. Kot rozdziawił paszczę i chlasnął jęzorem po trufłowatych nozdrzach. Z trudem opanowałem wzbierające mdłości.

Zwierzak miauknął. Rezonatory, tłumiąc ryk, powtórzyły mięsożerne:

— Mmmiiiiiaaaaaauuuuuuu...”

— Co... ty tu? Skąd ty tu? Ty... Jak ci tam...

— No, niech mówi, odpowiada! No... Niemowa, czy szkolony? Szpiegujesz... Dla kogo? Ty! Nahousek cię przysłał, w komodońskie spławki nos wsadzać? Nie-do-cze-ka-nie! WAŁTA!!!

Komodor wpadł tylko na chwilę, by włożyć przyniesiony przeze mnie mundur. Wietrząc ostateczną rozprawę z buntownikami pragnął dokonać jej w orderowym blasku i szamerunkowej poźłocie.

Ujrzałem go jednak w podkoszulku i gaciach, chmurnego jak noc, z siwą, niegoloną rankiem szczecina, porastającą wybrzdżone policzki. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Tak, były to te same ślepie ludojada... Lecz reszta! Jakże Purmaker zgrzybiał! Zapadła pierś, smętnie skrzywione nogi w starczym przykurczu, świszający oddech... Gdzie podziały się jego czarne włosy? A wargi...?! Pamiętam, jak ogłaszały sentencję wyroku — dumne, wydatne, mordercze... Teraz widziałem tylko wyostrzoną brodę z sinawą kreską, z której wydobywały się bąbelki zlepionej śliny...

Więc aż tyle lat musiało upłynąć, abym dokonał fundamentalnego odkrycia, że Jim Purmaker zestarzał się okrutnie...

Co oznaczała ta zmiana? Czasy ryzykownych pościgów minęły, zetlała kosmiczna fantazja. Nadal przecież był surowy, coraz surowszy, im bardziej nieprzystępny, tym twardszy. Karał, lecz bez satysfakcji, na zimno; i nadal uznawałem jego prawo pastwienia się nade mną!

Prawo bardziej, niż przed laty metafizyczne, gdyż płynące z jego starości, będącej i moim schyłkiem — żalonym lecz nie do końca przegranym.

Wszak obaj dawaliśmy komedię. Obaj pragnęliśmy przechytryć czas.

Siedziałem na obskurnym wyrku w ponurym metalowym pudle rozpamiętując nagłą odmianę losu. Izolatce daleko było do samotni demiurga. Przypominała raczej klatkę, oddzielającą mnie od wydarzeń, które — bądź co bądź — zapoczątkowałem.

Zderzenie się z komodorem nie pozostawiło mi czasu na tak potrzebną refleksję: co właściwie oznaczał groteskowy tekst, płynący z głośnika? Kto go wygłaszał i w jakim celu? KOTOK, zabawny pomysł z pewnej starożytnej bajki, zaczynał funkcjonować jak najoficjalniej, głoszony przez wewnętrzną sieć informacyjną pancernika flagowego Hundertoler.

A potem — bełkot Purmakera, jakaś mglista aluzja do Nahouska i jego poczynań, nie zrozumiałem dobrze, lecz niewątpliwie komodor traktował mnie jak naslanego szpiega. Czy znaczy to, że był szpiegowany? Przez kogo? I dlaczego?

Tak, Purmaker obawiał się, że coś odkryję. Musiał żywić ten lęk już wcześniej, skoro gonił wszystkich z sypialni. Pewne fakty, dotychczas zupełnie oderwane, łączyły się w zgrabną hipotezę, a z niej z kolei czerpałem pewność, że wszystko, co przeżywałem ukrywa jakiś sens, dziwaczny może, ale jednak znaczący coś więcej, niż powszechne szaleństwo.

Nie pozwolono mi jednak myśleć zbyt długo: drzwi szczęknęły i na progu stanął nad wyraz skupiony Linius Gulbekian, z grubą czerwoną teką w ramionach.

— Dograłeś się — rzekł, biorąc mój zadumany wygląd za naturalną w takiej sytuacji rozpacz. — Na razie dadzą ci spokój, bo tam, na górze — zawahał się i nie dokończył. — W każdym razie mam cię wy badać — rozglądał się, gdzie położyć wypchaną tekę. Nie widząc innego miejsca, przysiadł obok na wyrku i zajął się papierami. Mimowolnie zerknąłem w pełen rubryk dokument, noszący tytuł: ZAPIS PRZESŁUCHANIA. Ogarnęło mnie przewrotnie natchnienie.

— Więc i ty służysz u Nahouska?

Skinął głową i, wertując akta, zagadnął:

— Co masz do powiedzenia na temat pokoju map?

Wzruszyłem ramionami.

— Co wiesz o zniszczeniu tego pokoju?

Urzędowość Liniusza zniescierpliwiała mnie, zwłaszcza, że mógłby zachowywać się bardziej bezpośrednio. Zналиśmy się od młodości. Jako pomocnik mata świadczył niegdyś przed sądzącym mnie trybunałem.

— Słuchaj, Linek, o co właściwie jestem oskarżony?

Spojrzał mi w oczy; zawsze lubiłem go za takie spojrzenia — naiwne, szczerze i nieco głupie, bo zdradzał nimi wszystko, nawet tajemnicę służbową. Tym razem czytałem jedynie zakłopotanie.

— Nie wiem... — rozłożył bezradnie dłonie, omal nie gubiąc szeleszczących papierzyk. — Dostałem materiały i pytania, które muszę ci zadać...

— Od kogo?

— Od Nahouska, oczywiście. Powiedział, że brakuje mu ludzi, a ja, znając ciebie wystarczająco długo, będę mógł poznać, czy nie kłamiesz...

Parsknąłem śmiechem, ale zaraz sposepniałem:

— Naprawdę tak powiedział?

Aleksander Miodragowić Nahousek intrygował mnie coraz bardziej.

Linius wyciągnął kartkę, pokrytą drobnym, pospiesznym pismem.

— Przeczytaj — rzekł, wręczając mi ją z namaszczeniem.

„...Majestatycznie wypełzają mapy obszarów gwiazdnych. W ich dostojności dostrzegasz smutek. Teraz gwałtownie przewalają się po pokładzie, jakby ogarnięte spazmem szlo-

chu. W całkowitej ciszy zbierają szorstkie kryształy pary wodnej, aby zbieleć, niczym kościotrupy i niszczyć w drobnych pęknięciach aż do przeistoczenia się w proch...”

— Co to, powieść? — spytałem.

— Czytaj, nie gadaj — popędził mnie Linius.

„Za nimi leci dziwaczna płatanina sprzętów, drobnych i dużych. Wśród stołów i szaf przemyka próżniowy skafander. Wypełnia go twardo ubita pecyna śniegu. Śnieżny Golem wywija nogami, roztrącając wirujące obok narzędzia — palnik z zastygłym soplem płomienia i leciwą spawarkę. Najwidoczniej ktoś nie sprzątnął po sobie. Komodor wdroży śledztwo...”

— I tak dalej, i tak dalej — opis ciągnął się na drugiej stronie, ale jakoś przestał mnie ciekawić, zwłaszcza, że Gulbekian coś już pisał w najmniejszej z rubryczek, mało widocznej, lecz tym bardziej interesującej.

— Jesteś telepatą — mruknąłem z przekąsem. Ogarniała mnie złość, bo jego zachowanie uprzytamniało nam obu jak wiele znaczy izolotka,

— Zapisałem tylko, że przedstawionego ci tekstu nie znasz... Bo gdybyś, na przykład, znał...

— To co?

— Zapisałbym, że znasz, i tyle...

Nabijał się ze mnie, drań. A ja podejrzewałem już rzeczy ostateczne.

— Skąd pochodzą te bzdury? — machnąłem kartką.

Gulbekian wyjął mi ją z ręki i starannie złożył w czerwonej tece.

— Jakiś fragment, chyba powieści. To śmieszne, ale napisał ją Outkipper. Słyszałem, jak Nahousek informował o tym komodora...

Poderwało mnie.

— Pamiętasz, co mówił?

— Bo ja wiem... — Linius swoim zwyczajem nie przepadał za intelektualnym wysiłkiem. — Zdaje się, że Outkipper jest bardziej niebezpieczny, niż na to wygląda...

Komodor, powróciwszy do kuchni w pełnej orderowej gali, rozgryzał nie lada zagadkę: czemu to ochotnik utknął w korytarzu, a rzekomo kocia, lecz niewątpliwie łapa, zamiast cofnąć się w zakamarki nieprawdopodobieństwa nadal orała pięcioma pazurami rozgrzany od elektronicznej salwy pokład...

Z ochotnikiem istotnie działo się coś dziwnego: zachowywał się jak wytracający energię automat. W miarę posuwania się jego ruchy powolniały, aż do całkowitego znieruchomienia, mimo, iż twarz wyrażała niewątpliwe bohaterstwo. Przysięgłbyś, że dzielny stażysta idzie dalej, w potworne objęcia grożącej mu łapy, ani przez chwilę nie ustępując w wysiłkach; czemuż więc zamarł w półgście, półkroku, ze stopą uniesioną zuchowato jakby wymierzał złośliwej bestii zamaszystego kopniaka?

— Człowieku — huczał komodor — łusz się!

Ale jajogłowy ochotnik ani drgnął. Głaz spojrział uważniej i — jakby dostrzegając nareszcie niecodzienną sytuację — przyznał:

— Nie łożumiem, co on wypławia! Dajcie mi tego... jak mu tam... Mestonela, niech wyjaśni, co się dzieje!

W trzy minuty później profesor, doprowadzony na kuchenne pobojuwisko, zakrzyczał ekstatycznie:

— Przewidywałem, dokładnie to przewidywałem!

— Bzdury! — zgasił go komodor. — Płoszę do rzeczy... Widzicie to łapsko, te pazury, o tam, w windzie? CO TO JEST? A?

— Felis domestica — odparł z przekonaniem Mestonel, patrząc pocziwie w komodorские oczy.

— Tylko bez uczonych kawałków! — zagroził odruchowo Głaz.

— Kot, kot domowy! — poprawił się profesor. — A w każdym razie jego przednia łapa. — Gratuluję, panie komodorze. Takiego okazu nie zdarza się widzieć zbyt często.

Purmaker poblądł. W głosie Mestonela wibrował taki zachwyt, iż trudno było wątpić, że mówi szczerze. Głaz zdusił więc cisnące się na usta przekleństwa i pryncypialnie zapytał o powód, dla którego lewa, przednia łapa czarnego, domowego kota tych rozmiarów wystaje z windy.

Profesor uśmiechnął się słodko.

— Tak jak prędkość wznoszenia przeciwstawia się grawitacji, a biegun — biegunowi, tak czas posiada swój antyczas zawarty w każdej, normalnej sekundzie. Załóżmy, iż szczegółowa zmiana warunków spowoduje wzbudzenie kontrczasu; zaczyna płynąć swoim torem, krzyżuje się i zapętla, a niekiedy — zdaża dokładnie pod prąd naszego, tworząc z nim sumę zerową. W takiej luce powstaje partykularna wieczność, coś na kształt czyścica bez odejścia i powrotu. Nie jest to wszakże martwa, wyjałowiona pustynia, lecz okrutnie skłębiony wir wszystkich możliwości, podanych jednocześnie, z zaprzeczeniem jakiegokolwiek, znanego człowiekowi, porządku. Tu już i obecność w czasie traci sens, bo trwamy we wszystkim, co nam dane, i zarazem w niczym, niezdolni do rozróżnienia, co stanowi część naszego dotychczasowego losu, a co jedynie warianty, nieskończoną liczbę odmian i rozstrzygnięć, ani lepszych, ani gorszych, po prostu innych. We wszystkich moglibyśmy uczestniczyć i teraz — uczestniczymy, tyle, że jednocześnie, naraz, bez żadnego związku.

Takie odmiany „wszystkoistycznego” czasu posiadają, ma się rozumieć, własną, równie osobliwą, przestrzeń. I ona znajduje się pomiędzy klasycznymi kategoriami przestrzeni i antyprzestrzeni, można by rzec — rozdziela je, wchłaniając każdą możliwość z obu stron naraz. Kosmos, który narodził się z jednej drobiny zawdzięcza tej wspaniałej cezurze swą różnorodność...

Uduchowiony wykład Mestonela nie odniósł wielkiego skutku: komodor wciąż zdawał się nie pojmować, czemu tak trudno unicestwić czarną łapę oraz kryjących się za nią buntowników.

— Przyznaję — podjął nie zrażony profesor — iż podobną sytuację rozważaliśmy wyłącznie w teorii... Toteż wszelkie uogólnienia byłyby nie na miejscu, a wnioski należy traktować czysto hipotetycznie. Moim zdaniem znaleźliśmy się na brzegu strumienia nieuporządkowanego czasu, być może nawet czasu „wszystkoistycznego”. Tym samym zbliża się do nas właściwa mu przestrzeń: żywiw niejasne podejrzenia, że obserwowany przez nas fenomen ma z nią wiele wspólnego...

— Mów pan jak się tam przedostać! — Purmaker nie zdierzył dłużej i zawrzeszczał najbardziej rozkazującym tonem.

— To niełatwe... — szepnął zestrachany Mestonel.

— Nie ma rzeczy niemożliwych — ripostował komodor.

— Niełatwe do wytłumaczenia, a raczej niemożliwe do wykonania — odrzekł profesor.

— To jak von Błombęg i spółka przeszli na tamtą stronę? — nastawał Głaz. — Tylko bez żadnych sztuczek. Na tym statku obowiązuje zasada pełsionalnej odpowiedzialności! Bunt, to nie żaden tam ekspełyment! Ja wiem, co pan myśli! Że niby jesteśmy wyblańcami losu, bośmy pierwsi zetknęli się z wykoncypowaną w labołatoliach osobliwością. Nie, Mestonel! Nauka nauką, a dyscyplina dyscypliną. Niech pan nie udaje, że nie łozumie co mam na myśli. Sykstyn von Błombęg to buntownik! W dodatku połwał tłoje ludzi, żeby podburzyć przeciwko mnie załogę całej Floty!

To było naprawdę długie przemówienie, wysłuchane przez otaczających komodora funkcjonariuszy w postawie na baczność. Nawet Mestonel, którego opuściło pierwotne rozradowanie, zafrasował się głęboko.

— No więc...? — Purmaker czekał w całej grozie swej porywczej natury.

— Gdyby założyć, iż jakimś trafem kot stał się swoistym zarodnikiem antyczasu i

towarzyszającej mu przestrzeni... słowem, gdybyśmy potraktowali go jako spiritus movens, oczywiście w rozumieniu objawów czysto zewnętrznych całego zjawiska, to wówczas... — plątał się Mestonel.

— Ten kot?

Drewniane wargi Purmakera zwarły się ze słyszalnym stukiem.

— Ten właśnie kot?

— Tak, tak, — zakwilił profesor — tenże kot, o, ten!

Łapa skurczyła się i znowu rozwarła, ukazując prześwitującą przez futro różową skórę.

— Więc, żeby wydostać von Błombelga i spółkę musiałbym zniszczyć... tego kota?

— Właśnie, a wraz z nim czas, w jakim przebywają i on, i Sykstyn, i reszta...

Gulbekian skończył wypełniać kolejną rubrykę i z westchnieniem odłożył protokół do czerwonej teki.

— Teraz — rzekł — przeprowadzimy konfrontację...

Roześmiałem się, bo zbyt dokładnie wszedł w rolę śledczego i przypominał nieco żartownisia, który z udaną powagą celebrytuje urzędowe czynności.

Linius nie obraził się, jedynie pokiwał melancholijnie głową.

— Na twoim miejscu nie byłoby mi zabawnie — podszedłszy do drzwi, grzmotnął w nie pięścią. Niemal natychmiast do izolátky wpadł zdesperowany człowiek o mysiej fizys.

— Poznajesz? — spytał Linius, udając obojętność. — Poznajesz tego ancymonka?

Sykstyn von Bromberg, w podartym uniformie i bez dystynkcji, stał, ciężko dysząc, w hardej pozie człowieka, rzucającego wyzwanie światu.

— Przesuń się — skarcił go Linius, przechodząc z powrotem do wyrka. — Muszę zanotować przebieg waszego spotkania.

Wyjawszy świeży druk, zatytułowany: PROTOKÓŁ Z KONFRONTACJI, wpisywał weń nasze nazwiska.

— Więc jak: poznajesz, czy nie?

Jego wielka głowa pochyliła się jeszcze niżej nad pracowicie kaligrafowaną rubryką.

— Wiem, kto to jest — przyznałem.

— Aha...! Zidentyfikuj go!

— Linius, przecież obaj go znamy.

Gulbekian nastroszył się.

— My jak my — mruzczał — jaka tam, znaczy, znajomość... Spotykaliście się?

— Niby kto z kim? — odezwał się nieoczekiwanie Sykstyn. — Nie rozmawiam z takimi jak wy...

— Patrzciez go! — Linius aż dłońmi plasnął z podziwu, strącając przy tym na podłogę kilka niesfornych kartek. — Bunt wznieca, statek przewraca do góry nogami, a potem nie raczy się nawet pochwalić!

Sykstyn zachnął się.

— Nie brałem udziału w buncie. Cały czas trzymacie mnie pod kluczem!

— Prawdę mówisz — odparł z namysłem Linius.

Zgubiłem się w jego grze, dobrodusznej i z pozoru głupawej, ale podszytej jakby inną grą, stokroć poważniejszą i perfidną...

— Prawdę mówisz — powtórzył — ale i nieprawdę... Wszystko zależy od punktu widzenia. Dokumenty — poklepał plik wystający z czerwonej teki — pokaż, co który winny... Masz, czytaj, żeby ten jajogłowy mógł nareszcie zrobić rachunek sumienia.

Podtykał mi pod nos kolejne bruliony.

„Dlaczego właśnie Purmaker? Bo łamie ludzi. Złamał i mnie, niestety... Z jakąż bezwzględnością pozbawił nas prawa stawiania pytań” — czytałem i robiło mi się zimno z wrażenia. Ale Gulbekian nie pozwolił mi umilknąć, wciskając paluch w eksplodujący

najskrytszą emocją tekst. — „Do diabła” — powtarzałem za nieznanym autorem — „do diabła, chciałbym wiedzieć, co naprawdę robi Wielka Galaktyczna w tym jałowym zakątku galaktyki? Przed kim, u licha, broni? Tu nikogo i niczego — nie ma. Nie było. I nie będzie...”

Przescoczyłem parę nieczytelnych linijek i z fascynacją, graniczącą z obłędem, recytowałem:

— „Purmaker i jego system wartości. Zbrodnia i kara w wydaniu żandarma cierpiącego na natręctwo. Wszędzie zbrodnia i wszędzie konieczność kary A zatem tylko coś absurda-lnego! Coś, co uderzy w sam rdzeń purmakerowskiego systemu. Jakiś symbol, możliwie zbijający z tropu...”

— Jakiś symbol — powtórzył smakowicie Gulbekian. — Ale nie tylko, nie tylko!

— „Wczoraj zastanawiałem się, czy to, co usiłuję napisać nie jest przypadkiem formą terapii. Potrzebuję oddechu, dławii mnie ten nieustanny i głupi rygor. Czuję się bezsilny...”

— Przesada — wtrącił Linius, wyraźnie zadowolony, że przypadł mu w udziale fachowy komentarz. — Przesada i tyle... A teraz strona szósta. Szósta!. Trzeci wers od góry...

— „Kiedy więc, wraz z towarzyszami schroniłem się przed pościgiem do kuchni, zamiast legowiska naszego starego poczciwego kota, ujrzeliśmy czarną kroplę, rozszerzającą się we wszystkie strony. Kazałem ludziom stanąć przy ścianach, a sam, ostrożnie, zbliżyłem się do niej, nie bardzo dowierając zmysłom. Lustrzana głębia wypukłej, pęczniejącej powierzchni, odbijała zadziwiający, bo nierzeczywisty obraz zamkniętej półkolem horyzontu krainy, pełnej granatu i puszystej ciemności. W samym centrum dostrzegłem kilka jaśniejszych sylwetek, tak jednak zniekształconych przestrzennym ugięciem, iż zrazu nie umiałem stwierdzić, czym są w istocie. Dopiero wycofawszy się przed osiagającą już wysokość człowieka kulą pojąłem, iż mogli to być ludzie. Przerażony tą myślą bardziej, niż jakkolwiek inną rzuciłem się do ucieczki, pozostawiając za sobą chrzęst niby pękających łuskwin.

Ukryci w sąsiadującej z kuchnią spiżarni czekaliśmy końca. Cienkie ściany ogarniał coraz wyraźniejszy dygot, a futryna trzęsła się spazmatycznie. Atak nie trwał zbyt długo...

W następnych kilkunastu sekundach broniłem się przed podejrzeniem, iż cały nasz protest to jedynie halucynacja, wywołana przez policyjnego specjalistę. W ten sposób Nahousek zwykł badać lojalność podejrzanych...

— Wychodźcie — zawołano spoza drzwi.

Ktoś nacisnął klamkę. Wąski promień niebieskawego światła przesunął się po naszych stopach.

— Prędejj! — okrzyk brzmiał jakoś srebrzyście i swobodnie, a przez poszerzającą się szparę wionęło niekuchennym zgoła zapachem.

Któryś z pogrążonych w niebieskiej poświacie mężczyzn zaszepotał desperacko:

— Musimy wyjść!

Skinąłem głową na znak przyzwolenia.

Ruszyliśmy.

— Otóż właśnie: ruszyliśmy — powtórzył z zadowoleniem Linek, a jego poczciwe oblicze ściągnał oficjalny grymas.

— Jesteście oskarżeni o usiłowanie zamachu na życie komodora Wielkiej Galaktycznej Strefy Płomieni. Cięży na was zarzut przygotowania i przeprowadzenia dywersji hipnagogicznej, buntu oraz wywołania fantomów!

Ulizana czupryna von Bromberga zatrzęsła się w niemym proteście.

— Jesteście przestępcami — upierał się Gulbekian. Miał martwy wzrok i nienaturalnie przekrzywioną głowę.

Sykstyn nie wytrzymał; bąbelki śliny pryskały mu z warg.

— To nieprawda, wszystko nieprawda! Nie dają mi spokoju! Przychodzą, zmuszają do odczytywania jakiś potwornych tekstów, śmieją się, że jestem buntownikiem, przestępcą i poniosę zasłużoną karę...

Skorzystałem, że przerwał dla nabrania oddechu i, nachyliwszy się ku Liniusowi, spytałem miękko:

— Fantomy? O czym właściwie mówisz?

— O...kocie — westchnął.

— O tym kocie? — znaczący akcent wywołał u niego dostrzegalny wstrząs.

— O czarnym kocie — zamruczał, wpadając w pułapkę własnych myśli. — O bardzo czarnym...

— Chciałbyś się z nim spotkać? — judziłem.

Czoło Gulbekiana zrosił zimny pot.

— Co wy... — wtrącił się Sykstyn. Pogroziłem mu pięścią. Umilkł. — On tu przyjdzie — powiedziałem z przekonaniem.

Linius jęknął, kuląc się na wyrku.

— Nie chcę — poprosił.

— Będziemy cię bronić, ale...

— Ratunku! — krzyknął rozpaczliwie.

— Musisz nam coś powiedzieć, Linius, to bardzo ważne! Jeśli nam nie powiesz, kot zjawi się lada chwila...

Drzwi izolatki odemknęły się z piorunującym trzaskiem, ukazując zażywną postać Aleksandra Miodragowicia Nahouska.

— Brawo, chłopcze! — zatarł białe rączki i, nie zważając na śmiertelne milczenie, tokował:

— Ta izolatka ma pewną właściwość: odczytuje psychiczne reakcje swoich gości. Zapewne słyszeliście o wykrywaczu kłamstw? Powiedzmy, że zasada jest podobna. Jak więc sądzicie: czy zapis, dokonany przed chwilą oczyści was z podejrzeń?

Sykstyn bezwładnie opadł na wyrko.

— Ja nic nie zrobiłem — jęknął z oczami w słupek.

Nahousek przyjrzał mu się z bezstronnym politowaniem.

— Cóż, panu rzeczywiście niełatwo! Co zaś do ciebie — machnął w moim kierunku — chyba nie dziwisz się tak bardzo...

Starałem się nie uciekać ze wzrokiem, lecz przerażała mnie czern obrzydliwie rozszerzonych źrenic. Nahousek tryumfował jak myśliwy nad pokonaną zwierzyną, gotów do uwiecznienia się w bohaterskiej pozie.

Chciał, bydlak, żebyśmy go podziwiali. Chętnie odpowiedziałby na trwożne pytania. Jednak von Bromberg był dosłownie zmiażdżony, a ja milczałem uparcie. Wtedy gniewnie rozkazał:

— Wyjdź, Gulbekian! I przestań nareszcie bać się kota!

Odczekawszy, aż za Liniusem zatrzaska się drzwi, zagadał do nas z fałszywą troską:

— Obowiązuje stan oblężenia. Na pokładzie trwa bunt. To zmniejsza wasze szanse, chłopcy...

— Niczego nie... — wyrwał się oficer administracyjny, lecz ścichł zaraz, pod karcącym tikiem brwi Nahouska. Aleksander Miodragowicz potrafił wzbudzać w ofiarach solidne poczucie beznadziejności.

— Zechce pan łaskawie zaczekać; najpierw specjalista od kotów. Istny geniusz! Jakie możliwości! Złamać program hipnagogu i zakodować w nim, że komodor jest upostaciowieniem zła i, niczym czarny, koci upiór, krąży po statku, czyhając na niewinne duszyczki! Cóż za perfidia! Ile fantazji i bezczelności! A potem przyjsć do mnie — do mnie! — i zachęcać do skorzystania z hipnagogu. W jakim celu to wszystko? Dla kogo? Za jaką zapłatę?

A może usłyszemy odpowiedź, szczere przyznanie się, które kary nie złagodzi, ale pokaże chociaż, że pucybut nie całkiem zatracił morale załoganta Wielkiej Galaktycznej?

Odczekał teatralnie, pozwalając dzwoniącej ciszy udzielić jednoznacznego wyjaśnienia.

— Otóż to! Nie powie... Wystarczy jednak spojrzeć na wykresy. Chce zmiany, wielkiej zmiany! Nowy, inny świat go nęci! Nienawidząc komodora zarazem go podziwia, współczuje mu nawet! Chciałby być taki jak on! Może taki sam jak on!

Zabijał mnie tym krzykiem. Najskrytsza prawda, objawiona światu choćby w osobach izolatkowej trójcy, huczała wielkim głosem, nabrzmiałych od szyderstwa.

— Wróg, a zarazem sojusznik! Purmaker umie dobierać ludzi dla własnych planów... Na pańskim miejscu, von Bromberg, nastawiłbym uszu. Nareszcie pozna pan swoją rolę w tej piramidalnej historii...

Jeśli inny czas i inna przestrzeń istnieją — to właśnie teraz zakotłowało się w niej dokumentnie: ciemność zalała izolatkę, a gdy znowu rozbłysło światło, niebieskawe, jakieś ciepłe i poniekąd puszyste, staliśmy wszyscy na rozległej, po horyzont płaskiej łące, porośniętej sfalowanym... futrem. Przed nami, w leniwych pozach ludzi, którzy spełnili już swój życiowy obowiązek, trwali, w malowniczej grupie, Tansja Standenhouse, Horacy Medous i Sep Puccini. Ich nagie ciała porastały krucze, rzadkie włosy, a między krągłymi, pośladkami Tansji, zwróconej do nas ćwierćprofilem, dostrzegłem coś na kształt małego ogonka...

— No, nareszcie — miauknęła dziewczyna — ale dlaczego tak późno?

Aleksander Miodragowić Nahousek, goły jak wszyscy, zawzięcie przecierał oczy. Kiedy nie pomogło, wymierzył sobie na odlew sążnisty policzek, zamarł i, bez dalszych wstępów, skoczył na mnie z wraskiem:

— Uduszę!

Srebrzysty śmiech Tansji na moment ostudził jego krwiożerczość.

— Chyba śnię — zajęczał i znów dał się ponieść nerwom. — To twoja sprawka — ryczał, łomocząc mnie w pierś. — Twoja i Purmakera, występnych kotolubców!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Prawdę rzekłszy byłem nie mniej stropiony od Nahouska. Oglądałem bowiem poczęty z wyobraźni miraż, tyle, że usamodzielniony już i niezależny od autorskiej woli. Razem z innymi musiałem podporządkować się wypadkom.

Z kłopotu wybawiła mnie Tansja. Patrząc z rozbawionym politowaniem na naszą szamoczącą się trójkę, jakby od niechcenia wymówiła dwie, lustrzane sylaby: KOTOK!

Wzdrygnąłem się. Wraz ze mną wzdrygnął się, acz w zupełnie swoisty sposób Aleksander Miodragowić. Jako ostatni zadygotał Sykstyn von Bromberg, choć zapewne z odmiennego jeszcze powodu. Wpatrywał się w dziewczynę tak nieprzytomnym spojrzeniem, że trudno było odgadnąć, czy trwa w oszołomieniu wywołanym gwałtownymi przenosinami, czy też poddaje się piorunującemu urokowi nagiego zjawiska.

— Tak jest zawsze — powiedziała Tansja, kreśląc paluszką po czole — kiedy lekceważycie pisarzy. Pan, Aleksandrze Midragowiciu, oczywiście się myli. Ten człowiek — z jaką pogardą wskazała na mnie — nie potrafiłby stworzyć tak przekonującej opowieści. Co innego Barnaba Outkipper. Nie jest on zapewne prozaikiem wybitnym, ale ma dar niepowtarzalnego kształtowania rzeczywistości...

Sięgnęła w futrzastą trawę. W subtelnych dłoniach zaszurgotała czerwona teka.

— O, proszę — przerzuciwszy stos notatek wybrała właściwą kartkę. — Posłuchajcie... Ruszyliśmy.

Przed nami rozciągała się rozległa, po horyzont płaska łąka, porośnięta sfalowanym futrem. W leniwych pozach ludzi, którzy spełnili już swój życiowy obowiązek trwali w malowniczej grupie Tansja Standenhouse, Horacy Medous i Sep Puccini. Ich nagie ciała porastał kruczy, rzadki jeszcze włos, a między krągłymi pośladkami Tansji, zwróconej do nas ćwierćprofilem, dostrzegłem coś na kształt małego ogonka...

— Nareszcie — miauknęła dziewczyna — dlaczego tak późno?

Tansja uniosła na nas tryumfalny wzrok. W żółto-zielonych tęczęwkach wibrował niewysłowiony, zwierzęcy jakiś prześmiejch.

— To chyba powinno was przekonać... — rzekła. — Outkipper, nawet jeśli nie zawsze jest ścisły, to na ogół się nie myli. Stworzył nasze królestwo — planetę KOTOK, po której każdy może chadzać własnymi drogami...

— Nie wierzę! — Nahousek wściekle tratował miękko poddające się futro. — Medous, Puccini, do raportu!

Bosman Horacy Medous odwrócił się leniwie na drugi bok, ukazując potężnie sklepione barki z lśniąco pokrywą czarnego włosia.

— Ależ panie Nahousek — próbował tłumaczyć Sep — to nie Galaktyczna Flota! Tutaj trzeba myśleć zupełnie inaczej!

— Nigdy — wrzasnął Nahousek. — Nie po to wymyśliłem absurdalny bunt, aby skończyć w takich warunkach. Nie wierzę w te bzdury! To halucynacja! — miotał się, kopiąc przy każdym słowie w rozkoszne futro.

Zahurkotało. Koci świat zafalował, równina wygięła się, wznosząc nad horyzontem czarny pagór, który rósł niepowstrzymanie, nabierając obrzydliwie znanych, upiornych cech wielkiego, kociego łba...

— Uciekajcie! — w krzyku dziewczyny rozbiegaliśmy się na wszystkie strony, byle dalej od miejsca, w które celował różowy, ociekający śliną jezor... Z gwałtownym chłapieniem spadł na zakażoną naszym pobytem sierść i lizał, długimi pociągnięciami, pod włos...

Raptem zielono-żółte oko dostrzegło mnie w skołtunionej kępcie. Czarna trufla nosa zbliżyła się, niuchając chciwie. W otwartej na oścież paszczy złowieszczo błyszczały kły...

— Co ty tu!...

Komodor schylał się nade mną.

W jego kamiennych źrenicach czytałem szyderstwo.

— Niemowa — dźwięczał medalami — a może głupiego udaje?

Zerwałem się, trzasnąłem obcasami, aż echo poszło i zameldowałem regulaminowo:

— Goodparker, pomocnik

Oduczyłem się wymawiać te ciężkie od wspomnień sylaby.

Zaszczycił mnie przelotnym spojrzeniem. Było jak kaleczący skórę dotyk ostrego narzędzia.

— Osobliwe — powiedział. — Osobliwe, że to właśnie ty...

Westchnął:

— To w końcu bez znaczenia... Ty, czy ktoś inny... Musiał się taki znaleźć...

Medale brzęknęły potakująco.

— Jesteś pomysłowy — rzekł, jakby raz na zawsze dekretując obowiązujące między nami związki. — Umiesz wcale tłaźnie planować; ale pomyliłeś się. Wszystko i tak idzie swoim tołem. Nam — nic do tego.

Usiadł na łóżku, odgarniając pokrywające je kartki, które sypały się z leżącej na wezgłowiei wielkiej, czerwonej teki.

— Możliwe — powiedziałem, nabierając tchu. Gdzieś, w podświadomości, rodziła się myśl, że oto nadszedł mój czas, kiedy będę mógł wykrzyknąć całą nienawiść do Głaza i nareszcie nad nim zatryumfować. — Nigdy nie miałem ambicji, żeby cokolwiek robić sam, panie komodorze. Są inni lepsi. Oni także mają coś do powiedzenia...

Język niósł mnie w coraz niebezpieczniejsze konteksty; już nie przeżykałem słów, ale przeciwnie, dawałem im pełny oddech. Niech znaczą wszystko, co powinny, choćby śmiertelną ironię. W nagłym spojrzeniu, które mi posłał, był gniew i pobłażliwość. Wzbraniał się przed udzieleniem satysfakcji takiemu jak ja...

— Wiem, komodorze, że ignoruje pan przyszłość Floty — ciągnąłem coraz pewniej. — Jest panu obojętny los nas wszystkich...

Żachnął się, tym razem naturalnie i porywczo, lecz ścichł naraz, jakby ktoś położył mu

ostrzegawczo rękę na ramieniu.

— No, czegoż to jeszcze nie chcę, lekceważę, nie dostrzegam? — spytał prawie wesoło, tak łagodnym tonem, że stropiłem się okrutnie; chciał mnie zażyć szczerością na zawołanie i okiełznać, jak czynił to przez dziesiątki lat... Postanowiłem go przechytryć.

— Zdradzę panu to i owo, żebyśmy się dobrze rozumieli...

Gdybym go nie zaintrygował, wołałby wartę, wyrzuciłby precz, leciałyby za mną mnożące się wyzwiska. A on — siedział cicho, nie patrząc na mnie, czekał każdego słowa, może nawet — bał się?

— Ufa pan Nahouskowi?

Odpowiedź nadeszła sucha, płaska, bez wyrazu:

— Tak.

— Nie ma żadnego buntu! — zasyczałem. — To pomysł szefa tajnych służb. Von Bromberg został wykorzystany przez jego ludzi... Pan walczy z cieniem...

— Nie ma żadnego buntu... — powtórzył jak echo, wyprostowując zgarbione plecy. — Nie ma...

— Nahousek sądzi — ciągnąłem, nieco rozczarowany spokojem Głaza — że pan... zwariował! Tak, zwariował! A sytuacja groźna! Cała Flota pogrąży się w zawirowaniach przestrzenno-czasowych. To prawda! Sam tego doświadczyłem.

— Ja też! — powiedział z prostotą.

— Jak to...pan też? — niespodzianka skoczyła mi do gardła.

— Kot! — rzekł z nieokreśloną intencją.

— Właśnie! — uradowałem się, i niespodzianka zrobiła się całkiem lilipucia, sadowiąc się raptem na czubku smakującego słowa języka. — Czarny kocur to moje dzieło! Ośmieszył, sponiewierał, gonił za panem!

Przerwał mi przeczącym ruchem ręki.

— Jakiego kota masz na myśli! Tego, który ścigał mnie, bo przesycaliś mój mundur walerianą? Czy też monstrum, zwiastujące sąsiedztwo innego kosmosu?

Ten bydlak Nahousek nie mylił się: komodor naprawdę zwariował. Mówiłem rzeczy straszne, a Głaz — nudził się. Czyż trzeba było wspanialszych dowodów, od zaścielających łóżko fragmentów szalonej powieści? Teraz, gdy czyhało nań tyle niebezpieczeństw poczuwałem się do solidarności, nie tyle z jego obłądną idee fixe, ile z dostojeństwem, które reprezentował. Owszem, chciałem go zniszczyć i ośmieszyć, ale jeśli uczyni to ktoś inny, choćby Nahousek, cóż pozostanie dla mnie?

Nie wiem, jak udało mi się zatrzymać go przy sobie i nakłonić do wysłuchania już nie podejrzeń, lecz wielkiej i coraz przemożniejszej pewności, eksplodującej potokiem nieprzytomnych słów, znoszących wszelki dystans. Tak mi się przynajmniej roilo, kiedy w ogromnym pośpiechu relacjonowałem „ładowanie na KOTOK”, i wcale nie fikcyjny przewrót, inscenizowany przez Nahouska.

Ale Purmaker — nie słuchał. Wreszcie wydusiłem z niego kilka odbierających wszelką nadzieję zdań. Twierdził, że moja fantazja nie dorosła tej, na zewnątrz statku, gdyż wszystkie wydarzenia mają jedną, doniosłą przyczynę: musimy pogrążyć się w czarnej dziurze, aby osiągnąć nieznanne uniwersum i przejść na tamtą stronę rzeczywistości.

Ten horrendalny kłamca najspokojniej przyznawał się, że zna fizyczną naturę wszelkich anomalii, że czeka ich, bo są mu potrzebne do przeprowadzenia gigantycznego zamiaru. Flota Galaktyczna nie na próżno trwała w marazmie...

— To nasza wielka misja — powtórzył kilkakrotnie, wyraźnie uszczęśliwiony. Po raz pierwszy zobaczyłem jak się uśmiecha! Jego uśmiech pieczętował moją klęskę — niespodziewanego i głupiego sojusznika z niewygasłą zemstą w sercu.

Purmaker nie tylko wiedział, ale chciał znaleźć się po drugiej stronie lustra! Podkreślał

nawet, że temu poświęca życie...

— Więc to tak! — zakrzyczałem dotknięty do żywego — pan tylko udawał? Oszukiwał...? Ale nie mnie! Nie mnie! Ja znam kogoś, kto pana zniszczy, unicestwi, skaże! Stary, poczciwy grafoman, opowiadający groteskową historię... To mój atut! Mój strzał! Ostatni!

Purmaker uśmiechnął się raz wtóry, patrząc na czerwoną tekę:

— Outkiper? Poszedł na ratunek stażyscie, który przeniknął pole granicznego czasu... Tkwią tam razem — aż do końca...

— Jakiego końca? — pytałem, a myśl tężała we mnie, niczym stygnąca lawa gasnącego wulkanu.

— Do końca, który nadejdzie. Przeżywałem go już w pokoju map. I chcę aby się powtórzył — dla nas wszystkich! Dopiero wtedy uznam swój obowiązek za spełniony.

Z głębi umęczonej duszy rwał mi się błagalny okrzyk, który równie dobrze mógł wyrażać nienawiść:

— Co pan widział? Czego pan chce?

— Mały, zestłachany człowieku. A po cóż ci to Wiedzieć? Pragnąłeś się zemścić, więc mścij się... Wolna dłoga. Ale pamiętaj: niczego nie zmienisz.

Cóż pozostało po jego odejściu? Dowody, które wzbraniał się uwzględnić?

Wszak historia pancernika Hundertoler i Wielkiej Galaktycznej Strefy Płomieni trwała dalej na kartach kalekiej powieści. Outkiper umieścił tam wszystkich — zadowolonych z obrotu rzeczy i wściekających się — komodora, Medousa, Pucciniego, Gulbekiana, Tansję, Mestonela, mnie oraz kota... Cały szereg postaci, złączonych trwałym związkiem strachu i miłości, gniewu i sympatii, uczuć posiadających swą przyczynę i skutek, nadal — choćby i absurdalnie — do przewidzenia i opisania.

Czemuż by więc historia Jima Purmakera nie miała rozpocząć się raz jeszcze, dokładnie w dniu, kiedy w wielkiej tajemnicy nabył uczulonego na walerianę kocura, by z dawien dawna pielęgnowana zemsta przybrała kształt więcej niż doskonały, bo irracjonalny, a teraz również wieczny, wariantowy i powtarzalny...?

Ten dzień i ta godzina, początkując naszą wspólną historię mogłaby ją także zakończyć. Jest ktoś, kto pomaga mi w owym nawrocie, zapętłaniu się zdarzeń, dzięki komu zyskuję przewagę nad logiką, rozwiązując — mimo wszystko — najdonioślejszą kwestię w moim życiu: ZEMSTY na Jimie Purmakerze...

Barnaba Outkiper, pisarz-amator, fantasta o infantylnej wyobraźni, rozpoczął pisanie tej opowieści, a ja — pragnę ją zakończyć.

Ale jakież powinien być koniec?

Jak najdotkliwiej uderzyć w Purmakera?

Jak zniszczyć jego piekielną pewność, że cokolwiek by nie robił, robi słusznie?

Teraz, gdy marzy o wiekopomnej misji — przedostaniu się karkołomnym przesmykiem do niewiadomej przystani nowego kosmosu — wystarczy powtarzać groteskę z czarnym kotem i planetą KOTOK tak długo, aby uwierzył, że nie ma już nic więcej, że tak objawia się potęga nieznanego czasoprzestrzeni, że nie myliłem się, ostrzegając przed szaleństwem pióra szefa sztabu...

A wtedy Jim Purmaker, komodor Wielkiej Floty Galaktycznej Strefy Płomieni wsiądzie do małej rakiety i pryśnie w mrok — na spotkanie wymarzonego uniwersum...

Nie jestem autorem wymagającym, każdy przeto finał jest dla mnie dobry. Nie boję się banału; czemuż by zatem w rakiecie Purmakera nie znalazł się także czarny, sympatyczny kocur — towarzysz najwierniejszy i do ostatka, miękkiem mrużeniem umilający swemu panu ucieczkę tam, gdzie, zawieszona na rozgwieżdżonym firmamencie planeta KOTOK, czeka podobnych mu rozbitków w absurdzie unieruchomionego czasu...

Schyliwszy się, aby składać rozsypane po podłodze kartki, przymierzałem się do dzieła,

niełatwego przecież, bom nie tylko zaczynał, ale i powtarzał, czytał, ale i interpretował, zmuszony do poprawek, retuszów i wygładzeń, skoro zemsta trwała, rozwijając się bez ustanku i wytchnienia, ciągle spełniana i ciągle niespełniona, między „już” a „jeszcze”, grafomanią a literaturą, fikcją a życiem samym...

Znalazłszy kilka czystych jak śnieg stronic siadłem do pisania, zamknięty na cztery spusty w małej kabinie wielkiego pancernika Hundertoler, krążącego w wirze, który zasysał wszystkich — bohaterów i czytelników, autora, kimkolwiek by nie był i ofiarę, kimkolwiek była, stwórcę i wykonawcę, geniusza i wariata, wszystkich — aż po finalny kres, kiedy to Jim Purmaker nareszcie zrozumie, że przegrał, śmiesznie i nędznie, skazany na swego kota: bardzo czarne zwierzę...

TRANSDEPTAK

Jakiż beznadziejny tydzień! Następował po długim okresie oczekiwania, które kończyło się dwuznacznie i niejasno, gdyż przybysz z planety Wer-a-Sul okazał się niskim rangą dostojnikiem, przywożącym bombastyczną notę z wyrazami hołdu, zamiast spodziewanej deklaracji pomocy. Teraz więc nieuchronne rozczarowanie zbierze swoje żniwo i nic, nawet długie, telewizyjne programy nie wpłyną na zmianę minorowych nastrojów — aż do następnego tygodnia, w którym przewidziano Wielki Cyrk z Karuzelą Życzeń... Cóż jednak do tego czasu? Brzydkie siedem dni przygnębienia i goryczy, mrukliwych powitań i niechętnych spojrzeń, a wszystko dlatego, że Dział Prognoz raz jeszcze strzelił gafę. Co prawda, wypadałoby się przyzwyczać, prognozerzy też ludzie, ale mylić się w kwestiach tak zasadniczych...

Monsignore Tardini del Campo sul Medinatione Altorina w wielkim, białym kapeluszu na czubku łysawej głowy odbywał popołudniową przechadzkę wśród łagodnie nachylonych wzgórz doliny Tru, „upiększonej” ostatnio fantomem zamku różokrzyżowców. Monsignore z upodobaniem śledził majestatycznie łopoczącą flagę, podniesioną na znak, iż wielki mistrz znajduje się w komnatach. Gdyby tak zajrzeć do refektarza... Długie stoły, powściągliwość biesiadników i pozbawione aromatu wina — myślał, z trudem powstrzymując się od urzeczywistnienia ekscentrycznej zachcianki. Pełna iluzja, choćby najdoskonalsza w wyrazie, nie zwiodłaby doświadczonego Urzędnika. Podświadomie obawiał się jednak nieprzyzwoitego uczucia zachwyty, któremu gotów był ulec w zetknięciu z niezamierzonym pięknem militarnego fałszerstwa.

Siedemnaście dyplomatycznych misji dawno już pozbawiło Altorinę głębokiego oddechu, a piętrzące się kłopoty z Wer-a-Sul, nawet pośród sielskiego krajobrazu, zmuszały do niewesołych refleksji. Dzwoniąca cisza rozedrganego upałem powietrza w jakiś niewytłumaczalny sposób przypominała obłudną ciszę pałacowych sal. W obu kłębiły się podobne emocje — zaskoczenia, irytacji, poczucia przegranej. Tardini wzdrygnął się na wspomnienie czołobitnych hołdów, wygłaszanych z tak uniżoną beczelnością, iż w pierwszej chwili nie umiano odpowiedzieć Wer-a-Sulańczykowi. Jedyne Cudowny Mandaryn, siedzący niczym lalka na grawitacyjnym podeście uśmiechał się krzywo, potakując z wyrozumieniem maleńką główką, ozdobioną długim warkoczem. Nie mając nigdy nic do powiedzenia Mandaryn błędnie uosabiał Opinię Publiczną.

Zapewne dlatego sul Medinatione żywił bolesny kompleks nieustannego porównywania się z milczącym dostojnikiem. Tamten przewyższał go nie kwestionowaną popularnością, którą zyskiwał dzięki zdumiewającemu trikowi. Otóż milczał jak grób, od przeszło tysiąca lat. Służba pałacowa zapominała wręcz o odkurzaniu nieruchomej postaci. Natomiast pozycja

Tardiniego wzbudzała rosnące powątpiewanie i krytykę w pałacowej czasoprzestrzeni. Wiele złego przyniósł nieudany pomysł z Wer-a-Sul; obecny, niechlubny finał wzmoże ataki na monsignora...

W trakcie tych niewesołych wspominków otaczający Altorinę krajobraz ulegał szybkim przemianom. Z początku zachodzące słońce położyło na murach liliowe cienie, czyniąc zamek różokrzyżowców ośrodkiem rozprzestrzeniania się coraz silniejszego granatu, który nasącał dolinę aksamitną ciemnością. Raptem, nad półkolem słońca, zjawił się sinawy wir i spadał w dół, mieszając czyste kolory, aż horyzont przybrał brunatny odcień. Dumnie powiewająca flaga spłynęła serpentyną po mrocznym bastionie. Jej śladem podążyły pierwsze, drobne błyskawice.

Gdy silny podmuch wzbierającego huraganu uniósł rondo białego kapelusza, Jego Ekscelencja Altorina, niczym przebudzony ze snu pustelnik zdecydował się pospiesznie zawrócić. Walcząc z rozfurkotaną sutanną i nadmiarem powietrza w tchawicy parł poprzez wysoką trawę ku najbliższej kabinie. Wypełniwszy ją korpulentnym cielskiem patrzył na rozpętany przez kaleką naturę żywioł.

Wymowny symbol naszego położenia, stwierdził z masochistycznym zadowoleniem Tardini. Udajemy, że jest jak dawniej... A dawniej? Także udawaliśmy. I zaraz, wiedziony zawstydzającym przymusem szczerości wyznał sam przed sobą; stosunki z Wer-a-Sul służą jedynie podtrzymywaniu złudzenia, iż możliwy jest powrót w przeszłość, choćby z pomocą stokroć szczęśliwszych wrogów...

W półleżącej pozycji dyrektor Agenor al Marciano Venturitos Campio sa Mlawix wyglądał na karła z nieproporcjonalnie długimi, rozlatanymi żywą gestykulacją rękami. Duże, wypukłe oczy utkwiał w rozmówcy i świdrował nimi pobladałą twarz Guarnieriego al Modeny von Korgacieux de Lond, jakby szukał w niej dystansu lub nawet niechęci wobec własnych słów. Ale poza karnacją nic w urzędowo zorganizowanym obliczu Guarnieriego nie wskazywało na jakiegokolwiek uczucie.

— Nie ma mowy o byle jakim kawałku. Robotę trzeba odwalić galantnie... — Agenor lubił, na przekór urzędowej terminologii, przywoływać tych kilka śmiesznych określeń z zamierzchłych, liberalnych czasów, choć wiedział, że jego wrogowie tylko na to czekają.

— A zatem, dzieci — zwrócił się do pozostałej grupy pracowników telewizyjnej zmiany — choćbyście padali na nos obsłużycie Tardiniego z wena i należyтым szacunkiem.

Uśmiechnął się do starych wspomnień; grube cielsko monsignora, rozlewając się po ekranie, stwarzało złudzenie wszechobecności.

— Jak zwykle zachowujemy obiektywizm; chodzi nie tyle o różne ujęcia, co brak propagandowej nachalności. Nasz gość wystarczająco dobitnie przedstawi słuszny punkt widzenia, toteż ograniczcie stymulujące wstawki. Skupcie się na bohaterze wieczoru! Wicedyrektor Guarnieri osobiście odpowiada za transmisję.

Al Modena potulnie skinął głową. Od dłuższego czasu męczyło go przeświadczenie, iż sa Mlawix kpi w ten okropny sposób, w jaki przełożeni uświadamiają oczywistą dla kierownictwa nieprzydatność wysłużonych pracowników. Ostatni dobry pomysł, jaki nawiedził ówczesnego szefa działu publicystycznego dotyczył sprawozdania z podróży Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Wysokie notowania Opinii Publicznej zadecydowały o jego awansie. Zająwszy nowy fotel uświadomił sobie, że obowiązki przerastają skromny talent, jaki wyhodował przez lata upartej pracy. Teraz nawet zachęty szefa wydawały się podszyte ironią. Czemu mnie toleruje? — dręczył się, spoglądając zrównoważonym wzrokiem po skupionych twarzach telewizyjnych współpracowników. Ani chybi nomenklatura! — odpowiadał bezgłośnie, rzeczowo referując układ programu z monsignorem. Cóż jednak pocnę, kiedy takiego nieudacznika jak ja zwierzchnicy zechcą pchnąć wyżej? Gubił się w domysłach, majaczył o nowej godności, pograżającej w otchłani sceptycyzmu i po pół godzinie osiągnął próg studia, gdzie wraz z Tardinim miał przekonywać widownię, że wszyscy żyją na najlepszym ze światów...

Tłusta dłoń monsignora zaatakowała Guarnierego tuż po wejściu.

— Ileż lat! — zachłystywał się dostojnik, jakby rzeczywiście nie posiadał się ze szczęścia. — Kiedy po raz ostatni...chyba w szesnastym cyklu?

Usiłowali odkurzyć dawno zapomniany epizod, lecz skończyło się na wzajemnie przepaszających uśmiechach. De Lond wyraził ogromną satysfakcję z możliwości ukazania Opinii Publicznej światłych ocen Altorny. Monsignore dziękował wylewnie. Zmieniwszy ton głosu na niemal familiarny, poprosił:

— Niech spektakl będzie spontaniczny! Koniecznie z udziałem widzów...

Script-girl, w różowych majtkach z falbanką, nachyliła się nad Guarnierim, podtykając mu pod nos teczkę ze scenariuszem. Monsignore bezceremonialnie zawłaszczył plik zapisanych stron i, przejrzawszy kilka, mruknął:

— Wykreślić... to, uważasz, zanadto teoretyczne i może znużyć...

Jednym ruchem wydobytego nie wiedzieć skąd ołówka Korgacieux skreślił passus, którego sens był mniej więcej taki:

„Wojna się skończyła, armie wróciły do domów. Co dalej, obywatele? Pomyślcie, zastanówcie się. Są ludzie, przeciwko którym należy walczyć. Są idee nie do pogodzenia z systemem zdrowego rozwoju. Są siły, organizacje, planety, wrogie wszystkiemu, co służy cyklicznemu odnawianiu się. Skoro więc istnieją przeciwnicy, trzeba ich niszczyć. Środków nam nie zabraknie”.

— Niczego nie będziemy narzucać — mlasnął Tardini del Campo — bowiem sugestia zbyt jawna obraca się zawsze przeciwko autorom... Aha, pokazujcie mnie z lewego profilu. Prawy jest dużo, dużo gorszy...

— Dwadzieścia sekund — zaświergotała script-girl.

Ciężki, parzący blask reflektorów chlasnął ich po twarzach, raptownie uroczystych i pogodnych. W studio uciszyło się, zabrzmiała ekscytująca muzyka.

Kolorowe plansze przeskakiwały przez ogromny, ustawiony w tle ekran. Dwie gigantyczne głowy pochylały się ku sobie na powitanie.

— Nasze skromne studio zaszczycił dzisiaj przewielebny monsignore Tardini del Campo sul Medinatione Altorina — zaanonsował wicedyrektor de Lond modulowanym, ciepłym i bardzo pewnym siebie głosem...

— Jaki był współczynnik agresji?

Agenor al Marciano Venturitos Campio sa Mlawix bardziej, niż kiedykolwiek, przypominał zdeformowanego karła. Jego olbrzymie dłonie zwierzały się w sękatę pięści, to znów wyrzucały rozgwiazdę paluchów, przylepioną do gładkiej powierzchni stołu.

— Ile? — ponaglił, nie zaszczycając spojrzeniem wicedyrektora Guarnierego, który skwapliwie studiował odczyt podręcznej końcówki komputera.

— Około czterdziestu sześciu procent — zakomunikował profesjonalnie de Lond.

Sa Mlawix uśmiechnął się sarkastycznie.

— Raptem sześć miliardów rozwścieczonych widzów, usiłujących rozprawić się z Altoriną plotącym smalone duby! Ma szczęście, że zrezygnowaliśmy z syntezer. Wówczas każdy mógłby przyłoić monsignorowi ile wlezie! No, dobra... — mrukliwy ton świadczył, iż są to uzewnętrznione w zaufaniu najskrytsze myśli Agenora. — Puśćmy tę hecę po raz drugi, może od fragmentu, kiedy del Campo usprawiedliwia niepowodzenie misji na Wer-a-Sul... Spodziewam się rychło paru telefonów. Panu także, Guarnieri, radziłbym się przygotować do...hm, odpytki...

Ciemną wnękę na wprost siedzących mężczyzn wypełnił promieniujący przytulnością obraz domowego zakątka, gdzie przy herbatce monsignore gawędził z przemiłymi widzami.

— Przypomnijcie sobie, co ostatnio wiedzieliśmy o Wer-a-Sul. Jak niewiele danych, jaka obojętność i brak zrozumienia. A przecież to nasz najbliższy sąsiad! Jakże nie wyciągnąć

do niego ręki? Ożywieni duchem przyjaźni i braterstwa sądziliśmy, że napotkamy wzajemną życzliwość. W imieniu was wszystkich pojechałem przeto na Wer-a-Sul, aby spotkać się z tamtejszą Radą dla omówienia nie cierpiących zwłoki problemów...

— Dalej, trochę dalej — zniecierpliwiał się dyrektor. — Mówiłem, Guarnieri, aby opuścić ten bełkot.

Obraz zaiskrzył, tłuste barki monsignora wykonały gwałtowny skręt i, zadygotawszy kilkakrotnie, już umiejscowione, nachyliły się nad słuchaczami.

— Nie ma nic gorszego — sugestywny szept del Campo zaszeleścił im w uszach — nic bardziej godnego pogardy od demonstrowania niezasłużonej wyższości... Tak, moi drodzy, nasze starania, by Wer-a-Sul znalazła motyw, dla którego warto istnieć, cel, choćby doraźny, a jednak zbawienny dla schyłkowych cywilizacji naszego kręgu — te oto starania wyśmiano, zlekceważono i odrzucono. A czyż dobra, stara idea uduchowionej hidzry, walki w imię ideałów, pozbawionych cech płaskiego materializmu, zasługiwała na podobny los? Jeszcze w ubiegłym cyklu Wer-a-Sul z zapałem przyjęła naszą ofertę i dała się pokonać, zyskując męczenników, świetne i czczone cmentarze, muzea, sztandary bojowe i tradycję wspaniałej armii... Dzisiaj wszakże tamtejszą Radę ogarnął duch wygodnictwa. Nie życzą sobie hekatomb, wołą gnuśnieć w beczynności, rodzić się i umierać bez celu!

Sa Mławix cmoknął głośno — z uznaniem, czy dezaprobatą? — a rozplomieniony monsignore gadał dalej, coraz bardziej porywczo i kwiecicie.

— Żadnych pertraktacji! Wypowiedzenia traktatów, czy choćby najazdu z pogwałceniem suwerenności! Nic, zupełnie nic! Oto mija cykliczna rocznica zbratania się społeczności naszych planet wokół swych sztabów i kierownictw politycznych, wokół wartości, których należało bronić za wszelką, ponadindywidualną cenę! Kto wówczas przejął się wspaniałym duchem jedności, rodzącym sprzeciw i gniew wobec wroga, ten najlepiej pojmie ogrom mego rozczarowania. Odrzucić tak wielkodusznie przedkładaną propozycję! Byliśmy gotowi najechać Wer-a-Sul przy użyciu najcięższej broni, zniszczyć ich najważniejsze miasta, doprowadzić do prawdziwego głodu i chorób, zaniku kultury i nauki! Lecz nie: zamiast korzystać, oni sprzeciwiają się, plotąc o znużeniu, niemilitarnych kierunkach postępu, a nawet zachwalając... pokój, jako alternatywę wojny! Czymże bylibyśmy, gdyby nie tragiczne wojenne zniszczenia, mózół odbudowy z ruin i zgliszcz, szczytna misja walki z okupantem, zakończona wygnaniem go precz! Popadlibyśmy w paskudny marazm, lenistwo i niedołęstwo duchowe, ruszylibyśmy do gwiazd tak odległych, że ich osiągnięcie równa się czezej spekulacji! Zapewniam was, że to samo czeka ludność Wer-a-Sul...

Monsignore zatchnął się. Sięgnawszy po szklankę pił łąpczywie, małymi łydkami. Jego emocje udzielały się widowni. Za plecami Tardiniego przemykały w błyskawicznym tempie niezliczone twarze tych, którym udało się wdrzeć w sam rdzeń programu...

— Dziękuję... — westchnął prelegent, ocierając usta długim rękawem. — Dziękuję za zainteresowanie i poparcie. Nie spocznę, póki Rada Wer-a-Sul nie przyjmie naszej oferty!

Obszerny fotel z wypełniającym go cielskiem umknął gdzieś w bok. W zamian na monitorach rozbłysła łysina Guarnieriego, który, uśmiechając się powściągliwie, przemówił:

— Podzielamy to oburzenie, monsignore. Z całej planety płyną wyrazy uszanowania i czci dla pańskiej niezłomnej postawy. Trzeba nam więcej takich ludzi, jak pan...

Sa Mławix z nie ukrywaną drwiną zerknął na podwładnego.

— Zgrabnieś zakończył, ale dopiero teraz zacznie się prawdziwa afery — rzekł i jednym ruchem potężnej dłoni zgasił panoramiczny obraz.

Jego Ekscelencja, monsignore del Campo sul Medinatione Altorina, bezsilnie spoczywał na szezlongu, specjalnie przystosowanym do jego ogromnych kształtów. W pozbawionej energii, jakby osłupiałej twarzy, jedynie oczy zachowały swój dawny uparty ogień. Zeszpeczone goryczą usta przy każdym oddechu pryskały śliną. Tardini dyszał ciężko, przebierając

palcami po bezsilnie wypiętym brzuchu.

W kącie izdebki migotały telewizyjne reklamy, na próżno zachęcając do przedsięwzięcia bogoojczyźnianych czynów. Del Campo zbyt wielką przeżywał klęskę, by zerwać się i wraz z resztą widzów odśpiewać cudowną pieśń zwycięstwa lub zaszalować na widok skromnie kłaniającego się Ludowi Cesarza.

Przeciwnie, zamiast zapału odczuwał wzrastającą nienawiść, która, podchodząc do gardła, zwiększała tylko bolesną duszność. Niepewnie sięgnął po zbawcze pigułki, wsunął kilka pod język i zamarł w oczekującej pozie.

Po kilku minutach był w stanie zebrać rozpierzchnięte myśli. Lecz to, co przeżył podczas minionej godziny nadal wydawało się nierzeczywiste. Spodziewał się trudności, przewidywał nawet oficjalną naganą, nigdy jednak nie przypuszczał, że dyplomatyczne potknięcie skaże go na publiczną, jarmarczną hańbę. Napiętnowany w Karuzeli Życzeń stawał się pośmiewiskiem tłumów! To nie była dymisja, lecz oplucie!

Komu zawdzięcza ów spektakl?! Przewyciężając wstręt uruchomił dysk pamięci i na ekranie po raz wtóry rozszalała się hałaśliwa, telewizyjna giełda Wszelkich Możliwych Pomysłów do Urzeczywistnienia, prowadzona przez Ulubieńca Tłumów, Pierwszego Gwiazdora Ekranu Maxa i' Empire State Building for Nasa.

— A zatem — ryczał Max — spotykamy się we wspaniałych nastrojach, pełni nadziei i ciekawości, co też się nam przydarzy! Nikt nie jest pewien swego losu; mamy w zanadrzu niespodzianki dobre i złe, rusza loteria pragnień; przyłącz się do niej! Zdecyduj o przyszłości bliźniego, skoro on decyduje o twojej!

Za plecami gwiazdora wybuchł fajerwerk świateł, biegnących we wszystkich kierunkach, jakby zanurzony w nich człowiek był przeszywany ognistymi nićmi. Twarz Ulubieńca wykrzywiła się jowialnie i z tym półuśmiechem skłoniła nisko ku nagle ukazanemu bębnowi, w którym wirowały różnokolorowe pojemniki w kształcie maleńkich, karykaturalnych główek. Już wkrótce w zminiaturyzowanych obliczach widzowie mieli rozpoznawać Bohaterów Karuzeli, których wytypowała Opinia Publiczna.

— Oto moc statystyki — zaszeptał i' Empire, wyczyniając nad bębniem szamańskie sztuczki. Białą, upierścienioną dłonią to gładził wirujące ścianki, to znów drapał śliską powierzchnię, jakby zniecierpliwiony nieustającym, kolistym ruchem.

Kiedy bęben zatrzymał się, Gwiazdor sięgnął do wnętrza i wybrałszy jeden z pojemników, z przesadnym wysiłkiem uniósł go ku zamarłej publice.

— Któż to, no któż? — zaśpiewał wysokim dyszkantem. Kamery panoramowały teraz amfiladowo wznoszącą się widownię, zapełnioną Reprezentantami; ich główne zadanie polegało na Identyfikacji Osób, których przyszłość ulegała zmianie.

— Szybko, szybcieństwo — piał Max, wstrząsając karykaturalną główką — jeszcze pół minuty, czterdzieści sekund, trzydzieści...

Z głębin ekranu wypłynął mglisty zegar. Widownia huczała, naradzając się pospiesznie; karykatura zmieniała rysy Bohatera Karuzeli, a każda pomyłka wykluczała możliwość ponownej obróbki jego losu.

— Piętnaście sekund! — zawył for Nasa.

— Medinatione? — wyrwał się ktoś i po chwili setki gardeł skandowały: Mon-si-gno-re Al.-to-ri-na!

Ulubieniec Ekranu rozpromienił się, odsłaniając w szerokim uśmiechu małe, żółte ząbki. W jego bujnej czuprynie zapaliły się fosforyzujące konfetti.

— Jakaż ulga! — krzyknął. — Jakaż ulga i uwielbienie dla wspaniałych mechanizmów demokracji powszechnej! Oto rozstrzygnęliśmy zagadkę. To nie my, to ... ON!

Maleńka główka, podskakując na dłoni Gwiazdora patrzyła martwymi oczkami na wiwatującą salę.

Gdy się uciszyło, i' Empire State Building zawezwał przed kamery Reprezentanta Stołe-

cznego Miasta, aby ustalił przyszłość monsignora Tardiniego del Campo sul Medinatione Altoriny.

Każda sylaba imienia i nazwiska podrywała wielkie ciało zapatrzonemu w ekran dostojnika. Powtórnie oglądał moment roztrzaskiwania srebrnym młoteczką własnej podobizny. Ukryty wewnątrz kryształek zwiastował ostateczne rozstrzygnięcie.

— Czytnik! Czytnik! — żądała widownia.

Unosząc w dwu palcach krystaliczne ziarenko Max podbiegł do inkrustowanego klejnotami urządzenia i ekrany zalała czerń. Na jej tle zarysował się prosty zapis nieuchronnego wyroku:

— Transdeptak! — przeczytał bezgłośnie del Campo, kuląc się od sztychu w kręgosłup.

— Bez odwołania? — zawołał któryś z Reprezentantów i setki zwróconych w dół kciuków zadekretowało powszechne Życzenie Opinii Publicznej...

Oh nie, nikt mu niczego nie wzbraniał, nie zakazywał, nie utrudniał, tyle tylko, że był niczym wielka dziura w rozgorączkowanym, lecz zawsze dostojnym życiu pałacu. Nie odwracano się na jego widok, odwzajemniając nawet ukłony, lecz z tą szczególną, zimną powściągliwością mówiącą więcej, niż najbardziej brutalne słowa.

Dojrawszy przyjaciela z lat młodzieńczych złapał go za guzik i, nie bacząc na nieprzyzwoitą formę, rozpaczliwym szeptem zaczął zwierzać się z krzywdy i opuszczenia. Eufrazy Maidenstein von Ochotzky rui Mimmo nie wydał się szczególnie poruszony; współczuł, lecz umiarkowanie, rzucając wokoło bystre spojrzenia. Wreszcie poświęcił guzik i odszedł spieszonym krokiem, zostawiając Tardiniego ponurym myśлом, skupionym wokół drobnostki z czterema dziurkami, z których zwieszały się zerwane nitki...

Wyszedłszy na ulicę del Campo zapatrzył się na przygodną kłótnię dwu rozindycznych przechodniów, spierających się o sens Cesarstwa we współczesnym życiu planety.

— No, i co pan o tym sądzi? — zagadnął go niespodziewanie niski, czarny człowieczek o rozbieganych oczkach. — Ja, wie pan, jestem z pogranicza, a tam żyjemy wyłącznie kultem Jego Cesarskiej Mości... My za Cesarzem pójdziemy w każdy bój!

To powiedziawszy wyprężył się i zaintonował uroczysty hymn.

Po raz pierwszy w życiu Altorina nie zalał się ostentacyjnymi łzami na dźwięk patetycznych strof. Wykrzywił jedynie twarz, zasłaniając ją niezbyt udolnie połą sutanny i, ciężko westchnąwszy, poczłapał do domu.

We drzwiach czekała nań kartka z nabazgranym tekstem: „Dzisiaj o szóstej. Tam, gdzie zawsze”. Zmiawszy w rękę wsadził ją machinalnie do kieszeni. Nie zamierzał nigdzie wychodzić. Wstyd, zalewając oczy, stawał się nie do zniesienia. Przecież wszyscy musieli wiedzieć o jego hańbie!

Przespał godzinę lub dwie na starym szeszlunku. Potem snuł się po pokojach, szukając zakurzonych dyplomów i odznaczeń. Czyścił akselbanty, przymierzał mundury młodości, oglądał przezrocza. Rozklejał się.

Za piętnaście szósta zadzwonił telefon. Del Campo długo nie podnosił słuchawki. Dopiero, gdy przebrzmiał ostatni, jak mu się zdawało, sygnał, rzucił w czuły mikrofon schryknięte: „Hallo”.

— Cieszę się, że jest pan w dobrej formie — usłyszał w odpowiedzi. — Potwierdzam nasze spotkanie. Tam, gdzie zawsze. Kwadrans po szóstej.

Słuchawka szcęknęła, głośnik ogłuchł. Dłoń natrafiła na zmięty świstek. W dolnym rogu ktoś narysował krzyżyk okolony aureolą.

Kaplica Męczenników, pomyślał bystro monsignore. Któż u licha tam właśnie chciałby mnie widzieć?

Raz jeszcze obejrzał kartkę. Umysł pracował jasno, ciekawość zwyciężyła rozsądek. Towarzystwo Nieprzejednanych? Ono także używało tego wiele mówiącego symbolu. Grupa

twardogłowych, uznająca istniejącą rzeczywistość za zbyt ugodową, a obecny rząd za liberałnych zdrajców Wielkiej Idei Wojny...

Do kaplicy dotarł dziesięć po szóstej. Opuszczone gmaszysko wysklepiało się potwornie rozdętą kopułą, zwieńczoną znanym skądinąd krzyżem. Wewnątrz, w mobilnych grobowcach, spoczywali Bohaterowie Nigdy Niewygastej Wojny...

Wszedł do kruchty i z przyzwyczajenia pokłonił się wizerunkowi Matki Wojennej. Mocne żuchwy uosabiającego ją fantomu poruszyły się na widok wieczornego gościa, układając trupa twarz w przymilny uśmiech. Zdarty głos zaskrzeczał ze środka zdezelowanej maszyny:

— Co łaska, panie, co łaska...

Wrzucił garść drobnych. Matka Wojenna zatrzepotała rżęsami i wypięła wygłodzony brzuch. Zdawało się, że zaraz zacznie mlaskać.

— Dobry wieczór, monsignore...

Głos brzmiał ciepło i miękko, być może przez kontrast do rozgadanego fantomu. Mężczyzna chował twarz w podniesionym wysoko kołnierzu wojskowej kurty. Jego głowę okrywał miękki, szeroki beret. Dłonie, w kieszeniach wąskich spodni, zlewały się z korpusem, podkreślając sprężystą zwartość sylwetki.

— Nie znamy się, monsignore. a szkoda: w gruncie rzeczy jesteśmy sojusznikami...

Tardini zniecierpliwiał się.

— To wszystko jak z nędznej powieści kryminalnej!

— To wszystko? — nieznajomy wrzucił ramionami, zataczając niewidzialny krąg. — To wszystko, jak pan się raczył wyrazić, jest bardziej skomplikowane, niż może wydawać się politykowi, który tylko pozornie przegrał. Zwycięstwa, monsignore, rodzą się także z klęski!

Czas skakał na wysokich, sztywnych łapach: hops! — i nagły, kretyński koziołek i znowu wielki sus, by przekrócić wszystko do góry nogami... W półmroku izdebki Altorina wyczekiwał na kolejną woltę. Odkąd uciekł na przedmieście Wasongare horyzont dni i nocy zacieśnił się, tworząc pętlę, w środku której, na starym szezlongu, były dostojnik dożywał ostatnich chwil. Niekiedy rozczulał się nad sobą; częściej irytowało go ubezwłasnowolnienie tym dotkliwsze, że wplątał się w znajomość z Syligirem val Ono Resente di Fu ge Balarem. Prezes Nieprzejednanych przypominał zmore w kołnierzu, tradycyjnie uniesionym po same uszy.

Konspiracja, myślał z politowaniem del Campo i dusił obrzydzenie. Niechby jeszcze coś z sensem, mimo technicznej nieudolności. Niestety, Towarzystwo pokładało szaloną nadzieję w... Transdeptaku!!!

Nie zapomniał pierwszego spotkania z Syligirem i jego słów, wymawianych w twardy, nieco cudzoziemski sposób z tak całkowitą pewnością, że wywołane nimi zaskoczenie było wręcz wstydlive i jakieś nie na miejscu. Szok nadszedł później, kiedy del Campo pojął irracjonalizm swych sojuszników.

Sączyli podłą ascante w maleńkiej pijalni podrzędnego hoteliku. Na poczwórnych ławach rozpierali się pariasi, smakowicie chłepcząc ordynarny napitek z ciężkich, wyszczerbionych kufli. Donośny gwar nasilał się w nagłym wyciu, ogarniającym knajpę i wybrzmiewał w karnie skandowanym wezwaniu: „Na wroga, huź!!!”

— Towarzystwo — mówił schrypniętym tenorem ge Balar — to, pańskim zdaniem, grupa „żałośnie nieprzystosowanych”. Istotnie, „zatrzymaliśmy się” w rozwoju, nie rezygnując z ideałów wojny. Pan natomiast jest ostatnim z liberałów, który naprawdę pragnie zdrowej konfrontacji.

Nieznacznym gestem wskazał otaczających ich ludzi.

— Czy mamy wierzyć, że to było samo z siebie zechce się bić? Ukształtowaliśmy wojenny obyczaj, formy, ceremonie i codziennie oszukujemy się rzekomą gotowością do

walki. Przestaliśmy chcieć, monsignore. Pan, który tego nie pojmował, uległ w gabinetowej walce...

Del Campo potrząsnął gniewnie rozczapierzoną dłońią.

— Nie będę dyskutował o moim odejściu — zaczął. — Nic mnie nie obchodzą poglądy, proszę wybaczyć, politycznych dyletantów. Żałuję, że dałem się namówić na to spotkanie.

Resente di Fu nie ukrywał pobłażliwego rozbawienia. Łyknąwszy brunatnego ascante zaczął tłumaczyć, jak dziecku:

— Zastanówmy się nad pańską, proszę wybaczyć, niegdysiejszą pozycją. Załamała się, gdy rokowania z Wer-a-Sul uprzytomniły niechęć drugiej strony wobec jakiegokolwiek realnego starcia. Postępował pan w przekonaniu, iż intencje naszego rządu są szczerze, tym samym chęć doprowadzenia do wojny — oczywista. Przyjmijmy na moment ów naiwny punkt widzenia. Co powinien przedsięwziąć pałac, deklarując się jako nieodwołalnie militarystyczny? Czyż istnieje lepszy pretekst wszczęcia działań zaczepnych od bajdurzeń Wer-a-Sulańczyków o innych, niż wojenna, metodach konfrontacji?

Altorinę oblał lepki, ohydnie osłabiający pot. Czuł się niczym topielec, zmuszony do wykonania następnego kroku w beznadziejne bagno.

— Zamiast nagrody — ciągnął Resente — zhańbiono pana. I to publicznie. W jakimże celu? Chodziło o skompromitowanie sił, dążących do wojny, a zarazem utrzymanie propagandowego wystroju. Nadal więc rzekomo myślimy o walce, lecz termin jej rozpoczęcia nie jest dokładnie określony. Wystarczy, że przygotowujemy się, wspieramy na duchu, kultywujemy tradycje... I pan wierzy w ideową nieskazitelną mocodawców?

Di Fu z wprawą łyknął brunatnego ascante. Tardini machinalnie poszedł w jego ślady.

— Pan, monsignore, brzydzi się Transdeptakiem, gdyż symbolizuje on wszystko, co najbardziej podłe i nielojalne. Tymczasem wielu Nieprzejeđnanych bez przymusu wstąpiło na tę drogę...

— Wolne żarty! — syknął del Campo.

Ge Balar z humorem obserwował pomieszanie swego rozmówcy, jakby udzielała mu się desperacka myśl Tardiniego, iż członkowie Towarzystwa to wariaci lub męczennicy.

— Cóż wie o Transdeptaku dostojnik i prawodawca? — zagadał ironicznie. — Na cóż mu wiedza, gdzie podziwiają się odpadki cywilizacji? Nawet nie podejrzewa, iż wśród nich są także elementy twórcze, które mogą zmienić ten zgniły, dobroduszny światek w żywioł bezpardonowej i oczyszczającej wojny...

Tym razem Medinatione z ulgą umoczył wargi w cierpkim ascante, splukując z języka osad bezsilnego gniewu. Płyn przegryzł się przez suche gardło i dławiąc sparzył żołądek.

— Pójdzie pan śladem naszych najlepszych ludzi, monsignore. Oni także musieli pozbywać się wielu uprzedzeń; zrozumiawszy jednak znaczenie Transdeptaku dla wspólnej Idei...

— Co tam zastanę? — przerwał z szorstką niecierpliwością Altorina.

Syligere uniósł brwi i odparł pouczająco:

— Ależ wojnę... Historię najlepszych wojen, jakie zna Czas...

Księga Transdeptaku, zawierająca najbardziej tajemne teksty Odkrywczej Prawdy o Nas Samych, w sześćsetnym wersecie, pisanym językiem rostramoor, głosi wielce zawile, lecz ze znamiennej stanowczością stwierdzeń ostatecznych i danych raz na zawsze:

*Gdym wszedł w jaśniejszą noc od gwiazd
ujrzałem wir, co porwał nas
i czas zaprzęsł znowu dziś
rozjaśnił skołataną myśl.
W pokorze tylu możliwości,
z ironią nie-teraźniejszości*

*przeszedłem Transdeptaku Bramę,
by dostać coś, co choć nie dane
danym już było, zanim w mrok
czyniłem pierwszy, trwożny krok,
a legendarny Czasu rak
pełznął, by spotkać mnie na wspak.
I znowu, wprzód czyniwszy skok,
przebyłem wieczność. Sekund tok
odwrócił się i nagle znikł
i uformował inny szyk.
W przestrzeń rozrzucił faktów grad
abym ponownie siebie zgadł.*

Żaden egzegeta, wyjąwszy objętych Stanowczym Indekssem, nie poważył się dotąd interpretować owych słów inaczej, jak tylko w poetyckim, a więc wydumanym sensie. A przecież księga Transdeptaku, tworzona ze strzępów Zapomnianej Mądrości zawiera wyłącznie praktyczną wiedzę Dobrego i Złego Przeczytać w niej można o tym, jak skonstruować maszynę do rozwijania intelektu i jak zlikwidować intelekt za pomocą maszyny. Pierwsze rozdziały aż roją się od porad, dotyczących rozróżnienia między koniecznością (zwyczajną), a Bardzo Wielką Koniecznością (do której należy się przyzwyczaić). Końcowe wnioski brzmią następująco:

*Gdy człowiek musi, wówczas treść
tej powinności winien znieść.
Jeśli nie znosi, trzeba, by
zrozumiał, iż jest nędzny, zły.
Gdy pojmie to, należy znów
wypuścić się na duszy łów
i w konieczności ciasną sieć
zławić ofiarę, by ją mieć.*

Niestety, księgi Transdeptaku nie uświadczysz w rękach przeciętnego obywatela. Kilka ocalałych egzemplarzy rozsycha się w pałacowym skarbcu. Odpisy, jeśli w ogóle istnieją, zazwyczaj przeinaczają najważniejsze myśli. Czy jest to przeinaczenie celowe? Cóż, skoro Historia znalazła się na Indeksie, jawna przeszłość, ze swą magiczną mądrością rzeczy dawno odkrytych i sprawdzonych zagrażałaby porządkowi publicznemu. Dlatego Bram Transdeptaku (gdziekolwiek się znajdują) strzeże jedynie pełna wstrętu ignorancja. Okoliczni mieszkańcy nie domyślają się nawet, co kryją zapuszczone od pokoleń wejścia, a zarazem wyjścia klasycznych pętli, wiążących wszelki możliwy Czas w pełen ironicznego wdzięku supel (lub, jak kto woli, węzeł błędnego koła). Tylko terażniejszość, rozłożona na progu, niczym wycieraczka dla przestępujących ją nóg, trwa nieruchomo po naszej, jednoznacznej stronie, ale taki widać jej los; Mędrzec trzydziestego rozdziału formułuje znamienity epigram:

*Życie najprostsze wtedy, gdy
nie trapią go odmiany sny,
nie nęci go nadziei smak,
że może tak być albo tak
lub wręcz inaczej, niżli jest.
Więc przyjmij dobroczynny chrzest
chwili, pośrodku której tkwisz.
Nie zmieniaj nic — bo może...śnisz?*

Uważny czytelnik znajdzie w dostojnej Księdze Transdeptaku zapowiedź istnienia innych, dostojnych Ksiąg, których przeznaczenie wydaje się równie problematyczne i niewygodne dla współczesnych. Zapewne o tej paradoksalnej, lecz zrozumiałej nieprzystawalności myślał autor, kreślący niebieskim atramentem frywolne w swej doskonałej beczasowości

słowa:

*I cóż, że wolno w jednym śnie
o drugim myśleć całe dnie
i wyobraźni wrący dzban
zlewać na życie pełne ran.
Skoro ten drugi, piękny sen
rychło śni pierwszy. Tamten, ten
i setny, wszystkie dobrze znasz,
kiedy do lustra zbliżysz twarz,
co ani brzydką, ani piękną,
lecz jest nad wyraz obojętną.*

Wszedłszy na kamienny, doskonale kwadratowy dziedziniec, monsignore zmrużył oczy. Biel ścian, po których buszowało słońce tym jaskrawiej podkreślała mrok panujący w harmonijnie zwieńczonych oknach. Każde z nich przedzielała zgrabna, wężowa kolumnienka o głowicy, wyobrażającej fantastyczne zwierzę. Były to wizerunki niezwykle potworów, zda się, wydumanych w rozwiązłej wyobraźni konstruującego fantom inżyniera. Zaskoczony del Campo, rozpoznał znajome kształty, napotkane podczas najbardziej niezwykłej z wędrówek. Czyżby autor rzeźbiarskiego złudzenia miał styczność z Transdeptakiem? A może tylko fantazja, uwolniona z wszelkich ograniczeń, tworzyła odpowiedniki istniejących w czasoprzestrzeni zwierząt...?

Sul Medinatione zadumał się nad tą kwestią. Po powrocie do życia politycznego coraz częściej roztrząsał zagadnienia pozornie odległe, na które niegdyś nie zwróciłby najmniejszej uwagi. Myśl, że brak twórczego skrępowania prowadzi do tak karkołomnych zbieżności, wydawała się na tyle oryginalna, że raz jeszcze dokładnie obejrzał dziwaczną rzeźbę.

Nie mylił się; ów czworoląpy zwierz o pociągłej mordzie, zastygły z podkulonym ogonem, przypominał szorstkowłosego, szczekającego i paskudnie użębionego natręta, który w bezczelny sposób dobrał się Altorinie do łydek na jakiejś zapadłej wsi. Del Campo nie znalazł się tam, by oddychać krystalicznym powietrzem; zaciągnięty przez uduchowioną bojowniczkę uczestniczył w manifestacji pokojowej przeciwko instalowaniu w tym cichym zakątku rakiet z atomowymi głowicami.

— Cóż za rozkoszna perfidia! — myślał, spoglądając życzliwie na jędrne biodra energicznej towarzyski. — W tak cywilnym miejscu kluje się wspaniała zawierucha, której na imię wojna, wojna totalna, wojna do ostatniego tchu.

Wtedy właśnie napadł go ów zwierzak, boleśnie kąsając we wrażliwe łydki. Skrwawionego monsignora wyniesiono do prowizorycznego lazaretu, ale on nadal przeżywał szczególny paradoks tego zdarzenia, istny dualizm warunków i celu, starcie dwu podstawowych kategorii: wojny i pokoju oraz zasadniczo różnego ich pojmowania. Instalacja rakiet odbywała się bowiem wśród potężnej kampanii propagandowej, w której pokój odmieniano we wszelkich możliwych znaczeniach. Rakiety powinny były go ochraniać, lecz bynajmniej nie oznaczały uspokojenia, przeciwnie: pewność jednych wynikała z niepewności drugich. U podłoża zaś tkwił święty, wspaniały i wrodzony strach przed okazaniem słabości, ustąpieniem pola, podporządkowaniem się.

— Czyżby pokój skuteczniej wyzwalał agresję, niż wojenne zagrożenie? — dumał sul Medinatione. — Jeśli potraktować go jak rzecz, wówczas mógłby mieć właściciela. Kto jest właścicielem pokoju? Teoretycznie — wszyscy. Gdyby jednak uznać, że któraś ze stron zdobywa go na wyłączność albo jeszcze lepiej, wszyscy o taką wyłączność konkurują... Byłaby to niezawodna przyczyna ostrego konfliktu. A zatem: pokój, ale na naszych warunkach, ignorujących wyobrażenia drugiej strony. Pokój bez partnerstwa, lecz z przyporządkowaniem. Pokój jako parawan dla stłamszenia przeciwnika...

— Na wszystkie świętości! — zaklął oświecony i obolały monsignore; nie bacząc na zsuwające się szarpie i krwawiącą łydkę pobiegł na zewnątrz, ku tłumom, powtarzając z entuzjazmem:

— My-chcemy-pokoju!

W cichych murach iluzyjnego zamku okrzyk ten zabrzmiałby równie zaskakująco jak wizerunek szczekającego zwierzęcia. A jednak, pod tą igraszką zmysłów, ukrywała się prawdziwa szydercza ironia znaczeń. Medinatione nabierał pewności, że słowo „pokój” ma przed sobą ogromną przyszłość, zwłaszcza w stosunkach z bliźniaczą planetą Wer-a-Sul.

—Mój stary, przyjaciół poznajemy w biedzie — rzekł Agenor al Marciano Venturitos Campio sa Mlawix i brawurowo chlupnął trzeci z rzędu kieliszek. — O ile — dodał, przegryzając szeleszczącym chrupkiem — sam potrafisz z niej wyleźć!

Rozmawiali w prywatnych apartamentach dyrektora na setnym poziomie Kombinatoru Rozrywki i Mirażu. Rozciągał się stąd rozległy widok na zabudowę stolicy, z jej buchającymi czerwienią ogrodami, które, wędrując niczym obłoki, pozostawiały za sobą różową siateczkę pogmatwanych smug.

Gospodarz jednym pstryknięciem zgasił panoramiczne okno. Zdawało się, iż zgarnął wielkimi dłońmi nie tylko piękny widok, lecz także niepowtarzalną chwilę intymnego uczucia.

— Nie ulegaj publicznemu fałszerstwu — ostrzegł sentencjonalnie i zaproponował wzniesienie toastu za szczęśliwy powrót.

— Tylko nie opowiadaj, jak tam było. Nadmiar cudów wywołuje sceptycyzm...

Monsignore domyślał się, iż złote powiedzonka ukrywały jedno, ciężące im obu pytanie: „Czego ty właściwie chcesz, Altorina?”

Poprawił się na niewygodnym krzeselku, przewidzianym dla niechcianych, szczupłych petentów i, uroczystym tonem, oświadczył:

— Chcę, byś wiedział po co wróciłem...

Agenor al Marciano cmoknął niecierpliwie.

— Wielka wojna, co? Zawsze kochałeś tę mrzonkę!

— Mrzonkę? — podchwycił zadziornie del Campo, lecz natychmiast stłumił ogarniające go rozdrażnienie. — To nie fantazja. Wojna jest blisko, ponieważ ja wróciłem.

Sa Mlawix przyjrzał mu się z nowym zainteresowaniem. Dyrektorskie paluchy rozpoczęły samotną wędrowkę po połyskującym blacie stolika, jakby odmierzając rzeczywistą odległość dzielącą od rozmówcy.

— Ten, kto przebył Transdeptak i zjawił się na starych śmieciach — mruczał Agenor — mógłby zostać supergwiazdą. Taak... outsider, któremu wybacza się niegdysiejsze grzechy, któremu nawet pozwala się bluźnić... Wołasz o pokój, mobilizujesz opinię publiczną, nawet Towarzystwo Nieprzejednanych przechrzcisz na Stronników Sprawiedliwego Pokoju... Owszem, to jest temat.

Sul Medinatione niespiesznie rozgryzał maleńkie ziarnko tautisi.

— Smaczne — przyznał, delektując się kąskiem. — Odkąd pamiętam zawsze umiałeś przyrządzać strawę dla ciała i ducha. Gdybyś jeszcze zainteresował się szczytną ideą...

— Kombinat Rozrywki i Mirażu to pragmatyzm plus technika! — rzekł pouczająco Agenor. — Rozumiesz to lepiej, niż ktokolwiek inny, więc nie namawiaj mnie na tak niepewny interes jak Wielka Wojna. Starczy, że będziesz zabawny i Opinia Publiczna wystawi ci najwyższe notowania...

— Nie rozumiesz mnie — jęknął monsignore — a mógłbyś skorzystać z okazji...

Dyrektor zaniósł się wystudiowanym śmiechem.

— Jeszcze niczego nie osiągnął, a już chcesz mnie przekupić! No, dosyć żartów — profesjonalnym spojrzeniem objął zmarniałą nieco sylwetkę Tardiniego. — Musisz wypracować emploi. Sprzedamy cię w nowym opakowaniu: opozycjonista, ale legalny i lojalny, tyle,

że nieustępliwy... To się spodoba!

— Kontrakt! — szepnął del Campo i wyciągnął krótką, miękką łapkę.

Dyrektor wyjął z biurka bladoniebieski dokument i podsunął rozmówcy. Medinatione nonszalancko zerknął, po czym równie niedbale — odrzucił.

— Ho, ho, patrzajcież! — Venturitos Campio ani na chwilę nie stracił humoru. — Świetne programy, długa obecność na wizji, możliwość wypowiedzania poglądów po uprzedniej aprobacie zainteresowanych urzędów... Masz dowód, że uprawomocniono cię i zaufano — niemal bez granic!

— Jakies rewie — skrzywił się Tardini. — Między zonglerami, a wywoływaczami pejzaży... Nigdy, sa Mlawix, ja potrzebuję osobnego programu. Z moimi ludźmi, z moją oprawą, a także światłem i emocją, tysiąc razy większą, niż te — pstryknął w pogardzony zapis — błyskotki...

— Śmiało, śmiało — dyrektor zatarł ręce i z uznaniem spoglądał na puszącego się monsignora. — To i pewnie łaski cesarskiej chciałbyś dostąpić za sprawą pogadań o polityce...?

— A tak — przyświadczył Altorina. — Co wieczór, przed zaśnięciem. Ciepło i melodyjnie. Przy łagodnej muzyce: coś w guście kołysanki. Dopiero na koniec — krew, strach, mord — i uspokojenie, że to perfidia naszych nieprzyjaciół. Ze swej strony ślemy im słowa porozumienia, wiedząc najlepiej, jak zasadniczo muszą zmienić swą brutalną postawę. Jesteśmy życzliwi, ale nie głupi: żadnych złudzeń! Nie prześcigną nas, nie oszukają i — nie uspią... Bowiem po-naszej-stronie-jest-słuszność!

Kilkunastoosobowa grupa notabli skupiła się wokół cesarskiej łoży, jakby wpływ pustego tronu przewyciężał dominującą na codzien niechęć we wzajemnych stosunkach. Towarzystwo składało się głównie z dworskich i rządowych dostojników; uważny obserwator zanotowałby niezawodnie, iż łatwiej skojarzyć alkanę z luglarnem, niż oczekiwać jednomyslności na przykład od kanclerza i hetmana bunkrowego.

Tego wieczoru wszyscy usiłowali przekonać się o wspólnym niebezpieczeństwie. Rychło jednak dyskusja osiągnęła punkt szczytowej nieufności. Wówczas szambelan zaproponował przegląd nakręconych na Wer-a-Sul materiałów.

— Jeśli mamy dalej tylko się kłócić — rzekł kaśliwie — nasz przyjaciel Altorina bez trudu osiągnie, co zamierzył...

— Altorina! — prychnął pierwszy minister, lecz nie dane było dokończyć, bowiem z głośników rozległa się nakazująca ciszę zapowiedź:

— Powitanie na Wer-a-Sul!

Z ciemnej wnęki wybiegł mały, spocony osobnik o pucołowatych policzkach. Dobrze zorientowani patrzyli dalej, w perspektywę reprezentacyjnego podjazdu, gdzie, niczym fioletowy obłok, furkotała liliowa szata monsignora Tardiniego. Del Campo zawrócił gwałtownie, oddalając się od oczekujących nań Wer-a-Sulańczyków.

— Ależ ekscelencjo — zaszeptał pucołowaty sekretarz — nie w tę stronę...

Sul Medinatione zbył go wzgardliwym trzepnięciem obszernego rękawa.

Sekretarz potknął się, zakołysał i, odzyskując równowagę, schwycił kurczowo fioletowy tren.

— Co się stało, ekscelencjo, błagam, niechże pan nie robi skandalu!

Tardini zatrzymał się w pół kroku; jego twarz wyrażała najszczersze oburzenie.

— Skandalu? — syknął, z zadowoleniem kwitując popłoch wśród oczekujących gospodarzy. — Zapowiedziałem wyraźnie, że nie spotkam się z dyplomatycznymi bankrutami...

Zakłopotany sekretarz począł szybko tłumaczyć:

— Jakże wykluczać negocjatorów... Na Wer-a-Sul zmiany personalne nie zachodzą tak szybko... Idzie o kontynuację polityki...

— Jestem tu w charakterze misjonarza pokoju, a zmusza się mnie do rozmów z pogro-

bowcami wojny! — palnął Altorina.

Widzowie i Wer-a-Sulańczycy zareagowali z podobną gwałtownością.

— Nie chciałbym zaraz na wstępie obarczać naszych stosunków dawnymi niesnaskami — łagodził del Campo. — Sądzę, iż powinienem pracować z kimś młodym...

Rozejrzał się uważnie po twarzach potencjalnych rozmówców. Dokonawszy szybkiego wyboru wskazał na smukłego Wer-a-Sulańczyka.

— Proszę uzyskać wszystkie niezbędne pełnomocnictwa. Z panem będę rozmawiał swobodniej i szczerzej...

Młody negocjator skłonił się, ale nie wykazał chęci podjęcia zasugerowanych działań.

— Zaczekam na decyzję panów — rzekł godnie Tardini. — Tymczasem sekretarz oprowadzi mnie po ogrodach. Macie tak piękny drzewostan i kwiaty...

Ruszył w kierunku tryumfalnie rozgałęzionych androlli i rychło zginął w ich purpurowym gąszczu.

— Pomysłowe — rzekł dostojnik, siedzący najbliżej ekranu. — Pomysłowe i bezczelne.

— Początek nieważny, ważny koniec — dorzucił złowróźnie. — Tak zwykle bywa, kiedy brak jedności. Polityka uprawiana na własną rękę...

— Co pan insynuuje? — poderwał się pierwszy minister. — Altorina to awanturник, zdolny awanturник! Nie wykończyliśmy go Karuzelą Życzeń, wywinął się z Transdeptaku. Ostatnio lansowany jak największa sensacja! Osobowość miesiąca, kandyduje na Bohatera Roku! Rząd nie ma z tym nic wspólnego! Za to bardzo wiele — kompleks rozrywkowy, którego jest pan wieloletnim orędownikiem!

Wiszącą w powietrzu scysję zażegnał błysk uruchamianego zapisu:

— Rozmowy bilateralne — obwieszczono.

Przy długim, w ósemkę splecionym stole, w różnych pozach tkwiło ze dwudziestu ekspertów. Kamera wolno przesuwiała się po ich zmęczonych twarzach, beznamiętnie wyławiając tiki, mrugnięcia, grymasy, wymowne ruchy głową i tułowiem, zastępujące dyplomatyczny komentarz. Jedynym, który akurat mówił głośno, dobitnie, ironicznie, był monsignore Tardini del Campo sul Mediatione Altorina.

— Rozbroić się? Ależ oczywiście! Choćby zaraz! Rozumiem, że jesteście gotowi uczynić pierwszy krok, wydaje mi się zatem, iż dla uwiarygodnienia słusznej propozycji zrezygnujecie z rakiet WW-600...

Wybrany przez Altorinę młody negocjator z zimną dystynkcją odparł:

— System, o którym pan wspominał, decyduje o naszej militarnej wiarygodności. Dopóki więc nie zrezygnujecie z krążowników typu artosack...

Widzowie i del Campo zareagowali na tę niesłychaną sugestię zgodnym oburzeniem.

— Kto zaufał Altorinie? — jęczał pierwszy minister, wpatrzony w grymasy ekspertów, krągłe gesty Tardiniego i nieruchomą, młodzieńczą twarz Wer-a-Sulańczyka. A gdy toczył się na wizji spór ucichł ostatecznie, powtórzył z upartą zawziętością: — Kto za tym stoi?

W zapadłej ciszy nie było nic z dostojęstwa szlchetnego namysłu. Obserwowano się z nieukrywana podejrzliwością rozumiejąc, iż to pytanie jest osobistym błędem pierwszego ministra.

Naraz, cichy jak tchnienie szept, zwrócił uwagę wszystkich na nieruchomo siedzącą postać, ukrytą we wnęce cesarskiej łoży.

— Cudowny Mandaryn! — wybełkotał osłupiały kanclerz; sprawca kiwnął swą małą głową, ozdobioną długim warkoczem.

Zaskoczenie było tak olbrzymie, iż w nikim nie zrodził się choćby cień podejrzenia, iż Mandaryn wyszeptał jednosylabowe słowo:

— JA...

W pierwszej kolejności uległy wzmocnieniu istniejące dotychczas siły szybkiego

odstraszania; formacje te zwykło się teraz nazywać „naszą defensywą”.

Następnie zainteresowano się kosmosem i opasano planetę skomplikowaną strefą podwójnych, a nawet poczwórnych barier ochronnych Aby wykluczyć zaskoczenie przydano im kilkanaście flotylli, mogących dokonać błyskawicznego unicestwienia podobnych urządzeń wokół planety równie ostrożnego przeciwnika.

Nie skapiono sił dla rozbudowania systemu obiektów maskujących, pozornych, tudzież zmyłkowych. Zrujnowana wojnami powierzchnia globu zarośla się od miast-fantomów, widmowych lasów i pól, ułudnych rzek i strumieni. Pod tą rozkoszną powłoką kryły się tunele dla transkosmicznych rakiet. Ową broń usprawniano w tempie narzuconym przez bezpardonowego wroga. Toteż jej niebywała przebiegłość trwożyła już i samych konstruktorów; niewykrywalna podczas startu, odbijała fale wszelkich długości, pojawiając się na spokojnym nieboskłonie niczym filuterny obłoczek...

— Monsignore, pan tworzy nową epokę w dziejach Wojny Totalnej — recytował Syligire val Ono Resente di Fu ge Balar. — Pańskie wystąpienia dostarczają duchowej stawy niezliczonej rzeszy budzących się z odrętwienia istot...

Tardini rzeczywiście uważał się za człowieka sukcesu; przyjęty onegdaj przez Cesarza i uhonorowany życzliwą pogawędką, odebrał z najmiłościwszych rąk pierwszy egzemplarz orderu, ustanowionego za szczególne zasługi na niwie szerzenia sprawiedliwości. Bardziej jeszcze radowała go zapowiedź, iż nowy typ miotacza trafi wkrótce do uzbrojenia jednostek frontowych.

— Nie damy się nikomu wyprzedzić — potwierdził z mocą Cesarz, a słowa te powtarzał cały Dwór.

Jedynie Cudowny Mandaryn siedział z kamienną twarzą i nie raczył nawet potakiwać. Altorina, nie bez ukrytej złośliwości, dostrzegał, iż nimb wokół skośnookiego dostojnika tracił na intensywności.

— Przecenialiśmy go, to zwykły trup! — rzekł pewnego ranka Eufrazy MacMandelstein von Ochotzky rul Mimmo, ponownie zaliczający się do najwierniejszych przyjaciół monsignora. Wraz z innymi, odnalezionymi po latach starymi przyjaciółmi, tworzył coś w rodzaju przybocznej gwardii, poddanej ciśnieniu coraz świetniejszych komeraży lidera. Kiedy Altorinę mianowano cesarskim doradcą z nieograniczonymi kompetencjami, gorączka wzmocnionych liczebnie konfratrów oraz osób przyznających się do duchowego powinowactwa z Tardinim przybrała postać demonstracyjnej euforii.

Niewiele mniej spektakularnie rozwijały się kontakty z wojskowością. Sztab Imperialny nie szczędził zaproszeń na poligony, gdzie zaznajamiano drogiego gościa z potrzebami modernizujących się formacji. Pokazy prototypów, których produkcja decydowała o mocy pierwszego uderzenia, uczyniły Altorinę ekspertem w zakresie wymogów współczesnej techniki i technologii militarnej.

— Nasza obronność w pańskich rękach — miał się wyrazić wielki hetman bunkrowy, ku zawiści całej czeredy polityków.

Ponadto sul Medinatione dalej prowadził owocne rokowania z przedstawicielami Wer-a-Sul. W imieniu swego rządu podpisał nawet kilka układów, a następnie niezbitcie dowiódł, iż strona przeciwna haniebnie złamała co najmniej trzy z najważniejszych postanowień.

O owych zmaganiach z nieuczciwym rozmówcą przejmująco napomynał w telewizyjnych, cowieczornych pogawędkach. Zdaniem monsignora zbliżał się stosowny moment, aby dokładnie poinformować Opinię Publiczną o konsekwencjach nieprzestrzegania porozumień. A były to konsekwencje poważne. Rząd Wer-a-Sul udowodnił bowiem Tardiniemu nieszczerść intencji i fałszywe działania. Każdej podobnej konstatacji towarzyszyło odstraszące uruchomienie zamrożonych dotąd arsenałów.

W prywatnym dzienniczku mógł więc del Campo uczynić uwagę:

„Rokowania skuteczniej pchnęły nas ku wojnie, niż dziesięciolecia militarystycznej

propagandy.”

W ostatnich pogadankach monsignore coraz dobitniej uderzał w alarmistyczny ton. Dla wzmocnienia efektu pojawiał się w mundurze polowym, z wielką wstęgą orderu „Ja ślepa odwagę”, który — tytułem dziedziczenia — przejął po swym bohatersko zmarłym ojcu.

— Na polach chwały, na szczytach wzruszeń — recytował, wskazując na czwórbarwną pierś — przodkowie bronili czci i honoru. Czyż możemy ich zawieść teraz, gdy stare niebezpieczeństwo znów zagroziło planecie?

Minoderia robiła swoje. Tabuny widzów wdzierały się na wizję, skandując w radosnej ekstazie: „Nie zawiedziemy!” Tumult zagłuszał mówcę: ale jego szczęśliwa, spocona twarz bez reszty wypełniała monitor, zmuszając nawet najoporniejszych do wzięcia udziału w powszechnym i rozkosznym katharsis.

Tysiące wymyślnych punktów i linii, rozsypujących i scalających się rozgwiżdż, delikatnych maźnięć, wchłanianych natychmiast przez przeważające tło... Kampania wojenna w ujęciu elektronicznym przypomina abstrakcyjny, ciągle zmieniający się collage. Gdyby nie głos: zachrypnięty, znużony, coraz bardziej nerwowy, przekazujący ponure informacje o załamaniu się frontów, kontratakach, agonii wielkich oddziałów, pyrusowych zwycięstwach i porażkach szalejących w kosmicznej pustce flotylli, a wreszcie nieustannie powiększanych strefach zniszczeń obu walczących planet.

Wyłączmy ów nadmiernie pesymistyczny czynnik, a znowu barwna mozaika zwycięży wyobraźnię. Któż wie, iż purpurowa otoczka wokół seledynowej kropki oznacza pożar statku flagowego? Na cóż rozpoznawać w srebrnym kurzu eksplozję atomową? W rozpełzłym, jakby gotującym się pasie, niknie stacja w Und i nieprzyjaciel zdobywa inicjatywę. Tylko, że to naprawdę piękne! Druga linia poddała się? Ewakuowano zagrożone tunele? Złoto prószy na ekran, przesłaniając szczegóły. Broń chemiczna. Ze stratosfery. Niezwykły efekt. Cele rażenia — kolektory centralne. Raptowny skok i jesteśmy w nowej konfiguracji. Desant na platformach przeładunkowych... Kontruderzenie na flagowy statek przeciwnika... Obły, sympatyczny kształt, lawirujący w liliowych rozpryskach. Abordaż, niczym zlanie się barw. Okrażenie atakujących oddziałów; pozycyjny odstrzał uczestniczących w abordażu jednostek... Cała gama odcieni, tęcząca, niczym ogon lareza! Zabawnie będzie przywrócić tokujący głos. Oczywiście, krzyczy: „Uwaga, uwaga, transmitujemy...” śmieszne! Czyżby admirałowie koniecznie musieli zanosić adres do potomności?

W górnej części ekranu pojawia się mglista postać i bełkocze coś z godną podziwu zawziętością. Trzaski i zgrzyty uniemożliwiają zrozumienie słów, zwróconych zapewne do Boga lub tylko do „moich wiernych żołnierzy”...

Admirał znika równie nagle jak się pojawił i plastyczna mapa bitwy migocze od kalejdoskopowych efektów.

Głos spikera spowalnia, ucicha; jeszcze chwilę trwa na wizji frapujący nieład i już ekran wypełnia nobliwa plansza: „Łączymy się ze studiem”.

Na środku stylizowanego pobojowiska — przytulny kącik; następuje szybkie zbliżenie twarzy dyskutantów. Wicedyrektor Guarnieri al Modena von Korgacieux de Lond, pełen wewnętrznej godności; po prawej, dystygnowanie uśmiechnięty Ulubieniec Publiczności Max l' Empire State Building for Nasa. Trzecie miejsce jest puste i intrygujące.

— Bez zbędnych wstępów — intonuje Guarnieri — sytuacja wojenna nie przedstawia się najlepiej. Jednakże wciąż walczymy na wszystkich frontach. Nieliczne oddziały przeszły do obrony. Ze smutkiem pożegnaliśmy tych, którzy odeszli na zawsze. Z nieustającą nadzieją oczekujemy zwycięstwa...

Gwiazdor Ekranu układa wargi w przymilny ryjek i cmoka głośno z udzielającą się widowni aprobatą. Ale tym razem amfiteatralna widownia w studio ziejie pustką. Szczęśliwy zgiełek rozlega się za sprawą zręcznie uruchomionego zapisu...

Łagodne wytlumienie pozwala Guarnieremu wygłosić kolejną kwestię. Mówi o dzielności armii, wspaniałych osiągnięciach technicznych, dalekowzroczności dowództwa. State Building potakuje energicznie, zrazu głową, później wymownie złożonymi dłońmi, a wreszcie całym, krótkim korpusem, wbitym w połyskliwą, marszczoną tkaninę.

De Lond cytuje głosy widzów, pozwala także, na usilne prośby Maxa, odtworzyć kilka najbardziej wzruszających.

Obaj płaczą, ostentacyjnie wycierając łzy, dopóki w prawym, górnym rogu maleńką racą nie wybuchnie dwucyfrowy procent, świadczący o zainteresowaniu publiczności.

— Rekord! — wrzeszczy Gwiazdor, unosząc tryumfalnie ramiona.

Wicedyrektor Guarnieri filuternie grozi widzowi.

— To jeszcze nie koniec! Odrobinę cierpliwości, a puste miejsce koło nas zajmie...

Migawka z pół bitewnych: sinobrunatne, poczwarne grzyby eksplozji, rozsadzające płataninę ulic. Tu i ówdzie ruchliwe krople biegnących żołnierzy.

— ...niezastąpiony, perfekcyjny Jego Ekscelencja Tardini del Campo sul Medinatione Altorina! — kończy zapowiedź de Lond.

Monsignore zjawia się co do sekundy. Jest w paradnym uniformie ze wstęgą orderową. Chwila napięcia — powitanie; Max czyni z niego popisową scenę. Del Campo przyjmuje ów popis pobłażliwie. Widzowie oddychają z ulgą: stare urazy poszły w niepamięć.

— Drogi monsignore — wicedyrektor pławi się w powszechnym zachwycie — jak wygląda sytuacja na frontach...?

Tardini niespiesznie usadawia się w fotelu. Surowym spojrzeniem wodzi po pustym studiu. Odwraca wzrok ku kamerom, jakby starał się zajrzeć w twarz każdemu z widzów.

— Przegraliśmy — mówi z gorzkim dostojeństwem. — Przegraliśmy, aby wygrać. Czekaj nas długa i heroiczna okupacja...

Obraz chwieje się, rozwiewa, słychać nieskoordynowane okrzyki, nareszcie tylko ostry szum całkowicie martwego pasma kończy frapujący show...

*Nie jesteś winien. Cały świat
kręci na siebie wściekły bat,
kręci też tobą człecze, gdyż
do świata jesteś niczym mysz.
Co zdecydujesz, świat już drzwi
żądając, byś nie szczędził krwi.
Ucieczki nie ma, bo i skąd
weźmiesz spokojny, cichy ład.*

Monsignore stracił na wpół zwęgloną kartę z osmolonego foliału i, zeskrobując paznokciem sadze, czytał, porwany miarowym rytmem wiersza:

*Czasem zapragniesz, aby szczył
świat pełen cierpień, krwi i łez.
Lecz nie przepadnie, chroń go Bóg,
ten grząski grunt dla naszych nóg,
to źródło cierpień, łez i krwi;
znowu z pragnienia twego drzwi...*

Drwi, krwi, znecierpliwiał się del Campo. Ileż można? Defetystyczne bajdurzenie.

Z odrazą odtrącił księgę. Leciała, szeleszcząc łamliwie, a fruujące karty rozsypywały się po zarzuconej odpadkami podłodze.

— Resente, zrób tu porządek!

W rozwalonej framudze zamajaczyła twarz, ocieniona postawionym kołnierzem brudnej, wojskowej kurty.

— No chodźże — naglił Tardini — zobacz, co za bałagan...

— Obowiązki, monsignore... — di Fu niepewnym kroczkiem wtoczył się do niskiego pomieszczenia, przypominającego zrujnowany schron. — Proszę tylko sobie wyobrazić...

— Wiem wszystko, wszystko! — Tardini histerycznie zatrzepotał rękami, jakby opędzając się od niewidzialnych insektów. — Zamiast okupować — pomagają... zamiast mordować — leczą... nie stosując tortur, totalnych pacyfikacji, ani nawet pokazowych kaźni. Ale na tym właśnie polega ich dalekosiężna perfidia! Mają nadzieję obłaskawić nas, rozbroić ducha oporu, odzwyczaić od odpowiadania ciosem na cios... Wymyślili pokój jako najlepszy sposób zawładnięcia planetą. Niedoczekanie! Wojna do upadłego, własna, swojska, dobrowolna, z serca i ducha, z potrzeby mięśni i mózgu, heroiczna i wiekopomna, na wieki wieków...

— Pal i niszc — zamamrotał Syligire, zwyczajny widać takich wybuchów. — A w ogóle tam, na zewnątrz, sama nieprawidłowość. Teoria wojennego rozwoju wali się na pysk...

Nadaşany Medinatione wpatrzył się w martwy ekran.

— Źe też chce się panu tak siedzieć... Włączyłby pan, rozerwał się trochę, do szóstej jeszcze trochę czasu... — nudził Resente.

Tardini wyniosłym ruchem wskazał na panujący nieład. Ge Balar pokręcił się bez celu, gadając coś pod nosem. Nareszcie zabrał się do sprzątanía. Gdy skończył, ze starego szeszlónka rozlegało się delikatne chrapanie.

— Zmęczyłeś się, wojowniku — mruknał di Fu i pieczołowicie otulił zmarniałe ciało monsignora. Wystrzępiony koc źle chronił przed chłodem, wdzierającym się dziurami w ścianach i stropie, a zwłaszcza przez strzaskane drzwi.

Dopełniwszy miłosiernego uczynku Syligire przycupnął w podejrzanej bliskości telewizora. Po krótkiej walce sięgnął do przełącznika. Na śnieżącym ekranie relacjonowano proces byłego dyrektora Kombinatów Rozrywki i Mirażu, Agenora al Marciano Venturitos Campio sa Mławixa... Oskarżał obecny szef Kombinatów Guarnieri al Modena von Korgacieux de Lond. Kończył właśnie dłuższe wystąpienie, ukazując widzom twarz, przeoraną licznymi strumykami potu.

— W heroicznym czasie w jakich żyjemy, moralnym obowiązkiem jest odpowiedź na pytanie: co uczyniłem, aby pokonać wroga? Wielu udowodniło swą nieustępliwą lojalność. Ale są i tacy, którzy pobłażają pogrobowcom Towarzystwa Nieprzejednanych, którzy, mimo wyraźnego zakazu, nadal utrzymują kontakty z tym łotrem, wyrzutkiem i zbrodniarzem Tardinim del Campo sul Medinatione Altoriną. Są wśród nas zwolennicy niszczenia legalnej władzy, podważania jej autorytetu, a nawet — dążenia do przyszłej wojny!!! Jak wykazał publiczny przewód Agenor Venturitos Campio sa Mławix należy do takich właśnie, zdegenerowanych osobników. A zatem, Wysoki Sądzie...

Kamera uchwyciła kruchą sylwetkę, prezydującą za wysokim stołem. W dużym zbliżeniu niebiańsko obojętne rysy Cudownego Mandaryna napawały widzów zaufaniem i wiarą w kompetencje Sprawiedliwości.

— Wysoki Sądzie! — głos oskarżyciela zatrzącał o nerwowy dyszkant — ten, kto odtrąca dobrodziejstwa i mądrość naszych braci z Wer-a-Sul zasługuje na najwyższy wymiar kary...

— Transdeptak! — zachichotał bezkształtny stwór, gramolący się z posłania. — Mówiłem, Syligire, żebyś zostawił telewizor w spokoju!

Przyłapany na gorącym uczynku rzucił się do przełącznika; nieostrożny ruch i aparat zwałił się na podłogę.

— Niezdara — warknął monsignore, pozbywając się koca. — Niech leżą — polecił, widząc, że Balar usiłuje zebrać rozsypane części.

— Transdeptak... — Tardini poszybował myślami bardzo daleko od obskurnego bunkra.

— Nawet nie wiesz, di Fu, ileż ja mógłbym tam zdziałać... Z moimi umiejętnościami...

Altorina chełpił się jeszcze, ale bez przekonania, jakby milczący sceptycyzm Resente odbierał blask wielokroć snutym wspomnieniom.

Siedzieli w ciszy, maconej regularnie powracającym dźwiękiem skapującej gdzieś wody.

Nareszcie monsignore spojrział na zegarek i ożywił się. Masując sobie twarz i zabijając dłońmi po dygoczących z zimna plecach, spytał kącikiem zmrożonych warg:

— Punkt szósta, mówisz...?

Prezes Towarzystwa Nieprzejednanych skinął porozumiewawczo.

— Nowy nabór — zaszeptał, przewyciężając chrypę. — Zupełnie nowy. Nasza przyszłość i...

W rozbitym telewizorze pękła z hukiem ostatnia żarząca się lampa.

SPIS TREŚCI

Miau!	02
Transdeptak	35